Kir Bułyczow

Świątynia czarownic

Przekład Tadeusz Gosk

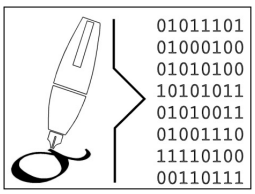

Późnym wieczorem z pokładu statku kosmicznego „Granat", parkującego na orbicie wokółplanetarnej, dostrzeżono wielki pożar. Pożar szalał na stepie w rejonie stacji badawczej. W owym momencie na stacji znajdowało się siedmioro członków jej załogi oraz jeden — Andrew Bruce. Bruce udał się na powierzchnię globu pokładowym kutrem planetarnym, aby odwieźć pocztę i brakujące wyposażenie stacji, a w powrotnej drodze zabrać zgromadzone próbki i chorego naukowca.

Nikt z kosmonautów nie był przedtem na planecie, i dlatego na pokładzie statku niewiele o niej wiedziano poza tym, że pełno tam wszelkiego rodzaju potworów, zaś rozumni mieszkańcy stepów — dzicy koczownicy — nieustannie ze sobą walczą.

Pożar, o którym mowa, był tego wieczoru już którymś z kolei. Zarejestrowano ich co najmniej cztery. Jeden wielki — płonął step, i trzy małe — wyniki napadów i potyczek.

Stacja była dobrze zabezpieczona przed atakami dzikusów, z początku więc pożar nie wzbudził w nikim niepokoju. Dyżurny radiotelegrafista na wszelki wypadek wywołał stację, aby zapytać, czy jej załoga nie potrzebuje pomocy.

Stacja nie odpowiadała.

Radiotelegrafista zameldował o tym oficerowi wachtowemu.

Wachtowy rozkazał wystrzelić „oko" — satelitę obserwacyjne-pozostał w kabinie radiowej, podczas gdy radiotelegrafista nadal wywoływał stację.

„Oko" zeszło nad powierzchnię planety i przekazało jej obraz. Płonęła właśnie stacja.

Paliły się jej stożkowate, podobne do wigwamów tubylców budynki. Płomienie ogarnęły nawet kuter planetarny, stojący o jakieś pięćdziesiąt metrów od zabudowań. Na ekranie można było rozróżnić postacie miotające się między jęzorami płomieni. Dym — czarny, gęsty i tłusty — zasnuwał pogorzelisko i ciągnął się na parę kilometrów w step.

Oficer wachtowy obudził kapitana i polecił przygotować do startu drugi kuter planetarny. Zgodnie z instrukcją kosmiczny statek liniowy miał dwa kutry, z których jeden musiał być w stanie pełnej gotowości operacyjnej. Ale właśnie on palił się teraz na po-

wierzchni planety, odkonserwowanie więc rezerwowego musiało trochę potrwać.

Kapitan potwierdził rozkaz oficera wachtowego. Kutrem ruszył na planetę lekarz, drugi nawigator Griszyn i dwaj inżynierowie.

Podczas gdy przygotowywano kuter, wydawano broń i ładowano lekarstwa, w sterówce zastanawiano się gorączkowo, co też na stacji mogło się wydarzyć.

Gdyby nawet w którymś z wigwamów wybuchł przypadkowy pożar, to zostałby on szybko ugaszony przez automaty pożarnicze. Zresztą mało prawdopodobny był pożar aż tak nagły, by mógł przeszkodzić w nawiązaniu łączności z „Granatem". Najwidoczniej na stację ktoś napadł, a atak był tak dobrze przygotowany, że zaskoczył nawet doświadczonego szefa stacji Konrada Żmudę i kapitana Floty Kosmicznej Andrewa Bruce'a.

Los tego ostatniego niepokoił kapitana najbardziej. Byli starymi kolegami, razem studiowali, razem uczyli się latać. Po katastrofie, której Andrew uległ parę lat temu, musiał zrezygnować ze służby liniowej i polecieć w charakterze przedstawiciela Floty Kosmicznej na planetę Pe-U. Przeżył tam wiele niebezpiecznych przygód (opisanych w powieści „Agent FK") i dopiero teraz, wylizawszy się z ran, wracał do Centrum Galaktycznego, gdzie miał otrzymać nowy przydział służbowy.

Andrew był człowiekiem energicznym i przymusowa bezczynność na pokładzie „Granatu", który niespiesznie wędrował od planety do planety, zaopatrując stacje badawcze i wymieniając ich załogi, bardzo go nużyła. Kiedy poprosił, aby pozwolono mu zamiast nawigatora polecieć na planetę, kapitan statku z przyjemnością się na to zgodził. Teraz okazało się, że popełnił błąd, bo wyprawa ta mogła się dla Andrewa bardzo źle skończyć.

Kuter planetarny wylądował obok stacji mniej więcej w półtorej godziny od zauważenia pożaru.

Pożar już dogasał płomień pochłonął wszystko, co był w stanie pożreć. Ze stacji pozostały jedynie czarne szkielety „wigwamów" i nawet kuter był w środku kompletnie wypalony. Na pogorzelisku udało się odszukać zwłoki czworga ludzi, z których jednego rozpoznano jako Konrada Żmudę. Reszta zwłok była w takim stanie, że identyfikacja była możliwa jedynie w Centrum Galaktycznym, gdzie przechowywano karty uzębienia naukowców. Opodal spalonej stacji znaleziono Ingrid Han, geologa z załogi naukowej. Była w bardzo ciężkim stanie, niemal konająca. Głowę miała rozbitą jakimś ciężkim przedmiotem.

Podczas gdy lekarz starał się udzielić rannej pierwszej pomocy, a jeden z inżynierów kręcił film, aby potem na statku spróbować dociec przyczyn tragedii, nawigator z drugim inżynierem ruszyli ku zarośniętej krzewami dolince, gdzie „oko" wypatrzyło kilka niewielkich skórzanych namiotów, w jakich mieszkali koczownicy.

Zwiadowcy ostrożnie podeszli do wigwamów, przed którymi tłoczyli się ich mieszkańcy — brudni, prymitywni, niemal nadzy ludzie, którzy gwałtowną gestykulacją od-

żegnywali się od udziału w zniszczeniu stacji, powtarzając słowa „oktin hasz". Ich zaprzeczenia jednak były mocno nieprzekonujące, ponieważ nawigator zauważył w osadzie przedmioty pochodzące z wyposażenia stacji, a ponadto twarze i ręce większości dzikusów były wymazane sadzą. Było oczywiste, że przynajmniej wynieśli już co się dało z pogorzeliska.

Tymczasem „oko" badało okolice stacji. Zdołało wypatrzeć i sfotografować kilka grup jeźdźców. Na stepie zaczął się pełny podniecenia ruch i zapewne wiadomość o zagładzie stacji szeroko się już rozeszła. W grupach jeźdźców zauważonych z powietrza nie było ani jednego z trzech zaginionych naukowców. Nie można było zresztą wykluczyć, że oni również zginęli w pożarze.

Ponieważ niedaleko stacji wykryto skupisko gigantycznych, drapieżnych gadów, zwanych tyranozaurami, zaczęto podejrzewać, że stacja uległa zagładzie w wyniku ich napadu, co było prawdopodobne, gdyż na samej granicy terenu stacji udało się odszukać ślady łap jednego z tych potworów — wgniecenia gruntu o średnicy około metra.

Dalszych poszukiwań trzeba było na razie zaniechać, ponieważ lekarzowi nie udało się ocucić Ingrid Han, która jego zdaniem mogła w każdej chwili umrzeć. Postanowiono natychmiast wracać na statek, a o świcie kontynuować poszukiwania. „Oko" pozostało nad stepem, rejestrując ruchy koczowników.

Przez całą noc w sterówce „Granatu" analizowano zdjęcia przekazane przez „oko". Jednakże i tym razem w grupach jeźdźców i w grupach skupionych w obozowiskach na stepie nie udało się wypatrzyć ani jednego z Ziemian.

Rano kuter znowu poleciał na powierzchnię planety i wylądował koło wielkiego obozowiska, znajdującego się około trzydziestu kilometrów od stacji. Obozowisko akurat szykowało się do zmiany miejsca i przyjęło ludzi niechętnie, żeby nie powiedzieć wrogo. Szukać Ziemian w liczącym wiele setek skupisku ludzi, którzy zaprzęgali konie, zwijali namioty, pakowali dobytek, przygotowywali posiłek, było sprawą niełatwą. Ani naukowców, ani przedmiotów pochodzących ze stacji nie znaleziono.

„Granat" pozostawał na orbicie. Czekano, aż Ingrid Han odzysk przytomność. Obserwacje stepu trwały nadal, ale nikogo poza tubylcami i masami niezwykłych zwierząt, wyglądających tak, jakby zeszły z kart atlasu paleontologicznego, nie zauważono. Tak minął drugi dzień i nastąpił trzeci.

Z każdą chwilą nadzieja na odnalezienie Andrewa Bruce'a i dwóch naukowców ze stacji stawała się coraz bardziej iluzoryczna.

* * *

Andrew Bruce był wdzięczny kapitanowi za to, że pozwolił mu zaprowadzić kuter na powierzchnię planety i pozostać tam do rana.

Kuter wylądował na zielonej łączce obok grupy stożkowatych budynków stacji. Na

jego powitanie wyszła cała siedmioosobowa załoga.

Kiedy człowiek widzi jakąś grupę ludzi po raz pierwszy i wie, że za kilkanaście godzin rozstanie się z nimi na zawsze, cała uwaga koncentruje się na jednej lub dwóch twarzach.

Andrew poznał przed kilkoma laty Konrada Żmudę, szefa stacji, który od tego czasu utył, postarzał się i wyłysiał, ale nie stracił energii i pewności siebie bardzo silnego i zdrowego człowieka.

Stacja istniała na planecie już półtora roku i jej załoga stęskniła się za nowymi twarzami. Konrad ściskał i obejmował Andrewa z takim entuzjazmem, jakby odzyskał dawno zaginionego brata. Następnie przedstawił go innym naukowcom i wzrok Andrewa zatrzymał się na przystojnej, szczupłej kobiecie w szortach i koszulce gimnastycznej, która okazała się geologiem Ingrid Han.

Przed wejściem do budynku stacji Andrew rozejrzał się dokoła.

Było gorąco i bezwietrznie. „Wigwamy" stały na łagodnym zboczu opadającym ku niewielkiemu jeziorku, które otaczały zarośla trzciny. Dalej zaczynał się step. Gdzieniegdzie piętrzyły się na nim wzgórza porośnięte rzadkimi krzewami i kępami drzew. Grały cykady, ogłuszająco szczebiotały ptaki. Step już przekwitał, ale trawa jeszcze nie pożółkła i wydzielała ciężkie, wilgotne aromaty.

W oddali, przy kępie drzew stali ludzie. Ich postacie, widziane przez gęste od gorąca powietrze, kołysały się i falowały.

— Kto to? — zapytał Andrew.

— Nasi sąsiedzi — odparł Konrad. — Uciekinierzy. Później dokładniej ci o nich opowiem.

Weszli do wnętrza stożka. W środku było nieco chłodniej.

— Nie włączamy klimatyzacji — powiedział Konrad. — Tak jest zdrowiej, unika się przeziębień, katarów. Nocą jest tu chłodno. Odpoczywaj. Wyładujemy sprzęt i zrobimy kolację. Wieczorem zobaczysz widowisko.

— Jakie?

— Nie bądź taki niecierpliwy. Ciekawe.

Wbiegł malutki, czarniawy mężczyzna, którego zrośnięte brwi nadawały jego twarzy wyraz zasępienia i rozpaczy. Rzucił worek z pocztą i wyszarpnął zza pasa blaster.

— Jakby czuły! — krzyknął i rzucił się do wyjścia.

— Co się stało?

Konrad otworzył szafę ścienną i wyjął stamtąd drugi blaster.

— Możesz popatrzeć — powiedział. — Tylko nie odchodź od wigwamu. One mają niezłe zęby!

Andrew zwykł był słuchać rad ludzi doświadczonych. W połowie życia zaczyna się rozumieć, że ciekawość jest naganna, zwłaszcza w nieznanym miejscu.

Stojąc pod drzwiami budynku zobaczył, że nad polaną zataczają szybkie, nerwowe kręgi, przypominające w sposobie lotu nietoperze, ciemne, mniej więcej metrowe i paskudne na oko stworzenia, z długimi, ostrozębnymi pyskami, błoniastymi skrzydłami i krótkimi, zaostrzonymi ogonami. To były pterodaktyle.

Od czasu do czasu któryś z nich pikował w dół, usiłując wczepić się zębami w człowieka lub w jedną ze skrzynek ułożonych obok kutra.

Konradowi udało się trafić jednego gada i strącić go na ziemię. Pozostałe, zapomniawszy o ludziach, rzuciły się na zestrzelonego pterodaktyla, który momentalnie zniknął w kotłowaninie rozszarpujących go na strzępy współbraci.

Bruce zagapił się na to widowisko i nie zauważył, że nie wszystkie pterodaktyle zajęły się kanibalizmem, lecz jeden z nich postanowił wybrać za przedmiot ataku jego głowę. Tak szarpnął Andrewa za włosy, że z oczu trysnęły mu łzy bólu.

Czarniawy mężczyzna obrócił się i strzelił.

Okropnie cuchnący pterodaktyl spadł na Bruce'a i zwalił go z nóg.

Konrad podbiegł do Andrewa i, pomagając mu wstać, powiedział z wyrzutem w głosie:

— Przecież prosiłem cię, żebyś nie wychodził na zewnątrz!

— Aleście nahodowali sobie paskudztwa... — powiedział Bruce i przyłożył dłoń do potylicy. Dłoń dotknęła czegoś wilgotnego i ciepłego.

— Zupełnie jak wrony — powiedział Konrad. — Przyzwyczaiły się do żywienia na śmietnikach. Pełno ich przy każdym obozowisku.

Popatrzył na pterodaktyle pospiesznie pożerające zestrzelonego gada.

— Teraz nażrą się i odlecą — powiedział Konrad. — Żeby tylko sąsiedzi nie zauważyli... — I natychmiast dodał: — Zauważyli.

W ich stronę biegło kilku dzikusów, którzy ciągnęli za sobą wielką sieć o rzadkich okach.

— A ci czego tu chcą? — zapytał Bruce, patrząc na pokrwawioną dłoń.

— Przemyj ranę, żeby nie doszło do infekcji — powiedział Konrad.

— Oczywiście — odparł Bruce.

Mężczyźni z siecią byli niewysocy, cienkonodzy i ubrani jedynie w krótkie skórzane spódniczki. Ich strój uzupełniały naszyjniki z zębów i kamieni oraz dziwne fryzury: niewielki grzebień włosów w poprzek ogolonej głowy. Wszyscy krzyczeli i śmiali się, ukazując białe zęby jaskrawo odbijające od ciemnych twarzy.

Ingrid wydobyła z kutra plastikową plandekę i z pomocą czarniawego mężczyzny zaczęła przykrywać nią skrzynki i pojemniki leżące na trawie. Ciepła strużka krwi pociekła Bruce'owi po karku. Trzeba było istotnie doprowadzić się do porządku. Ale które z nich było lekarzem?

Mężczyźni z siecią dobiegli do rojowiska pterodaktyli, narzucili na nie sieć i kiedy

gady zorientowały się, że zbytnio zająwszy się posiłkiem straciły wolność — było już za późno. Trzepotały pod siecią, starając się wzlecieć, a mężczyźni krótkimi włóczniami i kamiennymi toporkami rozprawiali się z nimi po kolei. Wybuchł okropny harmider.

— Hej! — krzyknął Bruce. — A ty dokąd?

Jeden z tubylców, korzystając z zamieszania, podbiegł do sterty skrzyń, odrzucił róg plandeki i chwycił płaską, srebrzystą skrzynkę. Ingrid zobaczyła to i zaczęła ciągnąć skrzynkę w swoją stronę. Z pomocą pospieszył jej Konrad. Szczupły, wysoki mężczyzna w szortach gromko beształ rabusia. Język, którym mówił, był szybki, urywany i dźwięczny niczym świergot leśnego ptaka.

Słowa potępienia, a zwłaszcza fiasko bezczelnej grabieży, uspokoiły myśliwych. Po trzech minutach oddalili się, wlokąc sieć pełną ubitych pterodaktyli i z głośnym śmiechem opowiadając sobie nawzajem o własnych wyczynach.

— Bruce — powiedział Konrad — przecież ci mówiłem, że trzeba przemyć i opatrzyć ranę.

* * *

Okazało się, że role lekarza stacji pełniła geolog Ingrid.

Wystrzygła Andrewowi włosy na potylicy i po oczyszczeniu rany zalała ją plastikiem. Będzie musiał pochodzić ze dwa dni z tą łatą. Ale jeśli Bruce sobie życzy, można go ostrzyc jak koczownika. Jean też zamierza sobie zafundować taką ozdobę...

— Po co mu to?

— To genialny filolog. Żeby pan słyszał, jakie dyskusje prowadzi z mieszkańcami stepu! Przyjęli go do hordy. Teraz zdemoralizują naszego Jeana. Nie mają żadnych zasad moralnych, nie wiedzą, co dobre, a co złe. Gotowi są całą stację rozgrabić. Białka, wyjątkowo sympatyczne stworzonko, bardzo ją lubię, ukradła lusterko, i powiesiła je sobie z przodu na spódniczce, wyobraża pan sobie? Horda tak się śmiała, że nie mogliśmy przez całą noc spać. W porządku, może pan już iść. Trzeba to było opatrzyć, bo pterodaktyle miewają na zębach jad trupi.

— Myślałem, że one są większe.

— Bywają nawet znacznie większe, ale na szczęście takie tu nie przylatują.

Przyszedł Konrad.

— Nie za gorąco? — zapytał. — Możemy włączyć klimatyzację.

— Dziękuję, nie. Dlaczego wpuszczacie tubylców na stację?

— Nie — uspokoiła go Ingrid. — Do pomieszczeń ich nie wpuszczamy.

— Dyżurny zawsze może włączyć z pulpitu sterowniczego pole siłowe — powiedział Konrad. — A na noc robimy to obowiązkowo.

— Konrad im współczuje — powiedziała Ingrid. — To jego horda.

— A ty im nie współczujesz?

— Współczuję — odparła Konradowi Ingrid. — Ale w niczym nie możemy im pomóc.

— A co się im przytrafiło? — zapytał Andrew. Plastik ściągał mu skórę i przeszkadzał.

— Dziś zobaczysz — odpowiedział Konrad. — Złoży nam wizytę sam Oktin Hasz.

— Wydaje mi się, że nie przyjedzie — powiedziała Ingrid. — Przyśle swojego kata.

— Przyjedzie — zapewnił ją Konrad. — Rozmawiałem z nim. Jest bardzo ciekawski.

Andrew Bruce poprosił o kubek wody i wypił ją wolno, małymi łyczkami. Woda była świeża, źródlana.

— Nasi sąsiedzi, wedle tutejszej terminologii horda Białego Wilka — powiedziała Ingrid — koczowali przedtem o jakieś dwieście kilometrów stąd. Założyliśmy stację w bezludnej okolicy. Nawet zamiast kopuł postawiliśmy „wigwamy", żeby się nie wyróżniać.

— Oni wszystko o nas wiedzieli — powiedział Konrad. — Myśliwy potrafi przejść w ciągu doby setkę kilometrów. A jeździec przejechać jeszcze więcej.

— Przychodzili do nas — powiedziała Ingrid. — Jesteśmy dla nich inną hordą. Bardzo bogatą hordą. Ułożyliśmy sobie z nimi stosunki, przywykli do nas, ale pojawiali się niezbyt często. Okraść nas trudno, a żelaza im nie dajemy. Ale potem przyszedł Oktin Hasz.

— Kim on jest? — zapytał Andrew.

— Attylą, miejscowym Attylą — odparł Konrad. — Przyszedł ze swoją hordą z południa. Tak nam mówiono. Inni uważają, że zawsze koczował nad Zieloną Rzeką, a jakieś dwa lata temu stał się silny.

— Wiedźmy mu pomogły — zauważyła Ingrid, chowając narzędzia do szafki. — Tak uważa nasza horda.

— Wiedźmy albo zdolności organizatorskie — powiedział Konrad. — W każdym razie zdołał podporządkować sobie wszystkie hordy z tego stepu i planuje wielką wyprawę ku morzu. A wojny są tu nieskomplikowane: śmierć albo niewola. Horda Białego Wilka też została rozbita i uciekła pod naszą opiekę. Oktinowi Haszowi zupełnie się to nie podoba, bo nie chce dzielić z nami stepu, ale nie ma odwagi napaść.

— A jak się nazywa wasza horda? — zapytał Andrew.

— Horda Żelaznego Ptaka — odpowiedział Konrad. — Tylko nie pomyśl, że nam się to wszystko podoba. Gdyby nie unikatowa fauna i miliony związanych z nią zagadek, dawno byśmy się już stąd wynieśli.

— Macie na to ochotę?

— Wiesz, jak w Biurze Eksploracji nazywają naszą planetę? Koszew. Koszew, koszmar ewolucyjny. Tutaj masz wszystko naraz: trias i okres mezozoiczny, kenozoik i homo sapiens. Nowe gatunki pojawiały się, a stare nie wymierały. To jest teoretycznie nie-

możliwe, ale się zdarzyło. Dlatego chcemy tu pracować, chociażby za cenę pertraktacji z Oktinem Haszem.

Do pokoju zajrzał filolog Jean.

— Przyszła Białka — powiedział. — Jej ojciec zachorował.

— Co mu się stało? — zapytała Ingrid.

— Był na polowaniu. Nic więcej nie chce powiedzieć. Tabu.

— Pójdę — powiedziała Ingrid. — Powiedz Medei, że kulebiak jest w piecyku.

— Sam go dopilnuję — uspokoił ją Konrad. — Weź ze sobą naszego rannego. On tu wszystkiego jest ciekaw.

— Dziękuję — powiedział Andrew. — Pójdę z przyjemnością.

— Zaczekamy na was z kolacją — obiecał Konrad.

* * *

Przed wyjściem Konrad wydał Andrewowi pas z blasterem.

— Mamy tutaj mnóstwo groźnych gadów — powiedział. — Co prawda, w naszych okolicach rzadko się pojawiają ze względu na hałas i obce zapachy. Boją się, ale jednak czasem przylatują. Sam widziałeś.

Poszli w trójkę. Do osady było około trzystu metrów. Przodem szedł Jean. Niósł przewieszoną przez ramię torbę lekarską Ingrid. W środku kroczyła Ingrid z ręką na pasie. Andrew zamykał pochód. Ingrid co chwila odwracała się, pilnowała, żeby Andrew nie został w tyle.

Ingrid i Jean wyglądali dość operetkowo — mieli na sobie lekkie koszulki i szorty, szerokie pasy z blasterami na boku, wysokie buty. Typowi zdobywcy kosmicznych przestworzy z filmów dla dzieci.

Szli szeroką, wydeptaną w trawie ścieżką. Trawa była soczysta, zielona, poprzetykana mnóstwem kwiatów. Brzęczały pszczoły. Ogromny, wielkości dłoni konik polny wyskoczył na ścieżkę, przysiadł i dał dziesięciometrowego susa. W poprzek ścieżki wędrowały wielkie żółte mrówki, drobne różowe motylki roiły się nad białymi baldaszkami kwiatów. Andrew odpędził od twarzy trzmiela wielkości pięści. Owad zabuczał z irytacją, ale odleciał.

— One nie żądlą? — zapytał Andrew.

— Wyleczymy — odparła uspokajająco Ingrid.

— Mimo wszystko trzeba tu uważać — powiedział, odwracając się, Jean. — Ingrid wprawdzie wyleczy, ale przedtem będzie bolało.

— W jeziorze też nie wolno się kąpać? — upewnił się Andrew.

— W żadnym wypadku — odpowiedziała Ingrid. — Na to nawet mój optymizm nie pozwala.

— Optymizm nie ma tu nic do rzeczy — powiedział Jean. — Kiedyś na brzeg wy-

pełzła taka gadzina, że Konrad wdrapał się na szczyt „wigwamu" po absolutnie gładkiej ścianie. Myślałem, że umrę ze śmiechu.

Słuchając ponurego głosu Jeana, trudno było sobie wyobrazić, jak umierał ze śmiechu.

— Aksel Akopian go zastrzelił — powiedziała Ingrid. — Skóra wisi w jadalni. Może pan sobie obejrzeć.

— Nie — powiedział Jean. — Już ją zapakowaliśmy.

Z bliska wigwamy hordy Białego Wilka wyglądały żałośnie. Kilka związanych u szczytu żerdzi, oplecionych cieńszymi gałęziami i byle jak przykrytych wyleniałymi skórami.

Teren wokół namiotów był wydeptany. Przerażająco cuchnęło. Największy smród wydzielały martwe pterodaktyle, które kobiety sprawiały na powietrzu. Unosiły się nad nimi tumany niebieskich much. Kobiety przerwały pracę i zaczęły się gapić na przybyszów. Najbardziej zainteresował je Andrew. Nieznajomy człowiek, i ubrany inaczej. Granatowe, długie spodnie, srebrzyste kamasze i biała koszulka bez rękawów.

Gołe dzieciaki, wszystkie trzymające w łapkach kości, które obgryzały — w obozowisku najwidoczniej było dużo mięsa — zbiegły się, żeby dotknąć gości. Jedna z kobiet wstała i odpędziła je patykiem.

Nadjechał wierzchem chłopak w futrzanej spódniczce. Zeskoczył z konia i klepnął go po pysku.

— Hę ka-wa sej — powiedział gardłowo.

Jean odpowiedział długim zdaniem.

Z największego wigwamu, przez niski otwór, wypełzł gruby starzec. Ukucnął i zaczął się klepać po policzkach.

— To brat wodza — powiedziała Ingrid. — Pokazuje, jakie wielkie nieszczęście ich spotkało.

Andrew chciał uciec przed dojmującym, przenikającym wszystko smrodem. Muchy przyleciały do gości i zaczęły im brzęczeć przed samymi oczami. Rudy, kulawy pies z pokrwawionym pyskiem przysiadł na tylnych łapach i warknął.

— Chodźmy do wigwamu — powiedziała Ingrid. — Tam nie ma much.

W wigwamie było trochę chłodniej. Oczy szybko przywykły do zielonkawego półmroku, wigwam w środku okazał się obszerniejszy niż można było przypuszczać, oglądając go z zewnątrz. Cuchnęło ostro i gorzko — w środku dymiło ognisko, przy którym leżało naręcze trawy.

Przy ognisku przykucnęła dziewczyna. Rzuciła w ogień garść trawy i lekko się podniosła. W ciemnej twarzy świeciły białka oczu i zęby.

— Przyszłaś — powiedziała i leciutko, na moment, przylgnęła czołem do ramienia Ingrid.

Sterta skór za ogniskiem poruszyła się. Dobiegł stamtąd niski głos. Jean odpowiedział.

— Wódz był na polowaniu — powiedział Jean. — Dopędził go lew.

Ingrid podeszła do rannego i zaczęła z nim rozmawiać. Jean tłumaczył.

Andrew rozumiał, że nie ma tam nic do roboty, ale nie miał ochoty wychodzić na gorąco i smród.

Obok ogniska, w ziemię był wkopany pień ze skróconymi gałęziami, na których wisiała broń. Andrew podszedł i przyjrzał się krótkim włóczniom z szerokimi kamiennymi grotami i prostemu, zębatemu mieczowi.

Dziewczyna stała plecami do niego, przyglądając się, co robi Ingrid. Jej krótka spódniczka z końskiej skóry była bardzo zgrabnie uszyta. Był to jedyny element stroju. Fryzurę miała dziwną — skronie wysoko podgolone i jeżyk na czubku głowy.

— W ten sposób można stracić nogę — powiedziała Ingrid.

Ranny o coś zapytał, odpowiedział mu Jean.

Dziewczyna poczuła wzrok Andrewa i odwróciła się. Znacznie szybciej niż obracają się miejskie dziewczęta, które nie czują obcych spojrzeń i nie przywykły się ich obawiać.

Oczy miała jasne, uważne. Andrew uśmiechnął się. Dziewczyna po sekundzie odwzajemniła uśmiech.

— Ciebie nie widziałam — powiedziała. — Jesteś nowy. Jesteś z nieba?

— Z nieba — odparł Bruce. — Skąd znasz nasz język?

— Jean mnie uczy — powiedziała dziewczyna. — Nikt nie zna języka ludzi nieba. Ja znam. Jestem mądra. Jestem córką wodza.

— Jak się nazywasz?

— Billere, a twoi ludzie nazywają mnie Białka. Dlaczego?

— Ich o to zapytaj, ale to dobre imię.

W Białce było coś z ptaka zrywającego się do lotu — w osadzeniu głowy, uważnym spojrzeniu, cienkim kośćcu. Od ramienia do niewielkiej piersi biegła cienka blizna. Białka zauważyła spojrzenie Andrewa i powiedziała:

— Uderzył mnie wrar i spadłam z góry. Prosto na sęk.

— Znasz wiele słów — powiedział Andrew — ja zaś nie wiem, co to jest wrar.

— To niedźwiedź jaskiniowy — powiedział Jean. — Tu ich nie ma, są na północy, gdzie dawniej koczowała horda.

— Dawniej żyliśmy pod lasem — powiedziała Białka. — Potem przyszedł Oktin Hasz i zabił mnóstwo mężczyzn, i wziął kobiety. A my uciekliśmy. Mnie też chciał wziąć. Będziecie z nami jeść?

— Nie, dziękujemy — powiedziała Ingrid. — Konrad na nas czeka. Będziemy jeść w domu.

— A Jean boi się naszego jedzenia — powiedziała Białka. — Boi się, że będzie go bolał brzuch od zarazków.

Do wigwamu wpełzła kobieta i o coś zapytała. Jean jej odpowiedział.

Dopiero teraz, kiedy się żegnali, Andrew zobaczył ojca Białki. Wódz leżał na plecach. Oczy miał zamknięte. Ingrid dała mu zastrzyk uśmierzający i teraz odpoczywał od bólu.

Białka wyfrunęła za nimi na placyk. Andrewowi zrobiło się słabo od smrodu. Sprawianie pterodaktyli zbliżało się do końca. Dzieci odpędzały psy, żeby nie porozciągały mięsa.

Do obozowiska przygalopowali dwaj jeźdźcy. Unieśli włócznie, pozdrawiając gości. Jeden z nich, jednooki, roześmiał się i wyświergotał długie zdanie.

Jean odpowiedział. Ingrid zrozumiała i przetłumaczyła Andrewowi:

— On żałuje, że nie udało mu się zwędzić nam błyszczącej skrzynki. To okropne złodziejaszki. Gdyby przetrząsnąć wigwamy, znalazłoby się tam wszystko, co zginęło ze stacji przez ostatnie pół roku.

Jean też się śmiał. Białka powiedziała:

— Zabierać cudze jest źle.

Popatrzyła na Andrewa. Z dołu do góry. Była od niego o głowę niższa.

— Źle — potwierdził Andrew.

— Głowa ci błyszczy. To rana?

— Jak się domyśliłaś?

— Ingrid zawsze smaruje rany rzadką maścią, która potem twardnieje. Kto na ciebie napadł?

— Pterodaktyl — powiedział Andrew. — Wiesz, co to jest?

— Wiem. To są korpy. Leżą tutaj. Robimy z nich odzież, kiedy jest zimno. No i jemy. Mamy teraz mnóstwo mięsa. Chcesz trochę?

— Chodźmy — powiedziała Ingrid — bo zupełnie stracimy apetyt.

— Święte słowa — powiedział Andrew.

Białka patrzyła za nimi. Zobaczyła, że Andrew się odwrócił i krzyknęła:

— Jesteś ładny!

— Jeszcze jedna wielbicielka — powiedziała Ingrid. — Dlaczego w całym Kosmosie kapitanowie Floty Kosmicznej cieszą się takim powodzeniem?

— Nie mam pojęcia — wyznał Andrew. — Dawniej to samo mówiono o huzarach.

— To wszystko przez mundur — powiedział Jean. — Patrzcie pod nogi, żmija!

Żmija śmignęła przez ścieżkę i skryła się w trawie.

* * *

Bruce długo pluskał się pod prysznicem. Wydawało mu się, że na wskroś przesiąkł

odorem obozowiska. Przy kolacji Kondrad powiedział:

— Masz szczęście.

— Cieszę się, że tam byłem — powiedział Andrew. — To było bardzo ciekawe, tylko okropnie cuchnęło.

— Nie to miałem na myśli. Obiecuję ci bajeczne widowisko. Wybiera się do nas w gości sam Oktin Hasz.

— Attyla?

— To mądry człowiek — powiedział Konrad. — Rozmawiałem z nim. Zdaje sobie sprawę ze swej historycznej misji.

— Jeśli misja historyczna polega na grabieży i rozboju — powiedziała Ingrid z oburzeniem — to nietrudno ją sobie uświadomić. Zupa wam smakuje?

— Niesłychanie! — zapewnił ją Andrew.

— Nauczyliśmy się tu wielu rzeczy — powiedziała Ingrid. — Wiemy, jakie zioła są pożyteczne, a jakich roślin nie wolno jeść.

— Dzięki Białce? — zapytał Andrew.

— Spodobała się panu? Cudowny dzieciak, nieprawdaż?

— Ile ona ma lat?

— Nie wiem. Jean, ile lat ma twoja Białka?

— Tutejszy rok jest nieco dłuższy od ziemskiego — odparł Jean. — Ponadto w społeczeństwie pierwotnym obowiązuje inna rachuba czasu. Dziewice oddaje się do sąsiedniego rodu gdzieś w czternastym roku życia.

— A dlaczego Białki nie oddali?

— Była przeznaczona dla chłopaka z hordy Dinozaurów, ale ta horda została wybita do nogi. Białka jest dziewicą-wdową. To wielka wada.

— Kto chce jeszcze zupy? — zapytała Ingrid.

Przyszedł czarniawy, ruchliwy jak żywe srebro Aksel Akopian. Przysiadł się do stołu i zaczął operować łyżką w takim tempie, jakby zamierzał pobić rekord w jedzeniu zupy na czas.

— Widzieliście dymy? — powiedział.

— Słyszałem, że horda Oktina Hasza zagarnęła tabory hordy Szarego Rekina. Była bitwa — powiedział Jean.

— Boże, kiedy to się skończy! — wykrzyknęła Ingrid.

— Głupieję od tutejszych aromatów — poskarżył się Konrad. — Tutaj wszystko cuchnie.

Dyżurująca w kuchni bujnokształtna, dobroduszna Medea przyniosła półmisek duszonego mięsa.

— Zgadnij, co to takiego — powiedział Konrad.

— Niech pan lepiej nie próbuje — ostrzegła Ingrid. — Ja staram się nad takimi rze-

czami nie zastanawiać. Dobrze jeszcze, że mamy nietknięty zapas konserw.

— To akurat nic groźnego — powiedział Jean. — Jelenina. Pokażę panu rogi tego byka. Dwa metry szerokie.

— Dlaczego tu wszystko jest takie nielogiczne? — zapytał Andrew. — Prawa ewolucji są niezmienne i uniwersalne. Jedno zamiera i ustępuje miejsca innemu.

— Tutaj nie ustąpiło — powiedział Konrad.

— Tutaj jest potrzebny co najmniej stuosobowy zespół badawczy — powiedział Aksel. — Napisałem raport, ale w centrali ciągle zwlekają. Ta planeta jest nafaszerowana tajemnicami. Patrzysz na prawo — tak nie może być! Ale jest. Patrzysz na lewo — tak się nie może zdarzyć, ale się zdarzyło. Rozumie mnie pan?

— Nie — odparł Andrew. — Jestem tu zaledwie od dwóch godzin.

— Jutro wsiądziemy do łazika i przewiozę pana po sztyletowym kanionie.

— Pokaż człowiekowi tunel-szarotkę — powiedziała Medea. — Rozdziawi usta i tak już zostanie.

— Jutro rano odlatuję — powiedział Andrew.

— Nie szkodzi — powiedział Konrad. — Tym razem wyślemy do centrali tyle materiałów, że wreszcie będą musieli się ruszyć. Są rzeczy, których nie można uznać za przypadek.

— A kiedy zobaczą, co wykazała analiza radiowęglowa, to złapią się za głowy! — oświadczył uroczystym tonem Aksel.

— Nie, Andrewowi coś jednak trzeba pokazać. Do zmroku pozostało jeszcze dwie godziny — powiedział Jean. — Może przewiozę go ślizgaczem?

— Dziękuję — powiedział Andrew. Wstyd mu się było przyznać, że jest bardzo śpiący. Zresztą przenikliwa Ingrid domyśliła się tego sama.

— Bruce nigdzie nie poleci — powiedziała. — Po co drzemać w ślizgaczu, kiedy może pospać w wigwamie. Człowiek jest u nas po raz pierwszy, Przypomnijcie sobie, jak wszyscy tu z początku spaliśmy. Konrad, odstąpisz gościowi łóżko?

— A kompot? — zdziwił się Aksel Akopian.

— Niech idzie — powiedziała Ingrid. — Za dwie godziny go obudzimy.

— Za godzinę — powiedział Andrew.

Nie pamiętał, jak dotarł do posłania. Za wiele nałykał się gęstego od zapachów planetarnego powietrza.

* * *

Konrad obudził Bruce'a za dwie i pół godziny.

— Nie wybaczysz mi, jeśli pozwolę ci spać do rana — powiedział.

W ręku trzymał filiżankę kawy.

— Sam sobie nie wybaczę — powiedział Andrew. — Dziękuję ci. Coś takiego jeszcze mi się nie przytrafiło.

— Zaobserwowaliśmy przez satelitę, że Oktin Hasz już wyjechał — powiedział Konrad. — Chcesz zobaczyć?

— Nikt mi niczego nie opowiada — poskarżył się Andrew, biorąc kubek z kawą. Kawa była gorąca i bardzo mocna, słowem przyzwoita.

Pokój Konrada był zastawiony tekami rysunków i obrazami olejnymi. Konrad uważał się za potencjalnie wielkiego malarza. Może lepiej, że nie został malarzem, tylko dobrym biologiem. Obrazy przedstawiały głównie stepowe pejzaże z zachodzącym słońcem.

— Po co on do was jedzie?

— Jesteśmy ościennym mocarstwem, więc składa nam wizytę — powiedział Konrad. — Uważa się, że wzięliśmy pod swoje skrzydła hordę Białego Wilka i możemy pretendować do ich dawnych terenów. Polityka to skomplikowana rzecz.

— A co im zaproponowałeś?

— Zasady kontaktu nie są uniwersalne. Ludzie tu są tak dalece pierwotni, że nasza obecność nie zakłóca ich życia. Oni są prehistoryczni, nie możemy zatem wejść do ich historii. Planeta zapomni o nas wcześniej niż osiągnie poziom cywilizacji niezbędny do wytworzenia pisma.

— Ale wzięliście jedną hordę pod swoją opiekę?

— W przeciwnym razie wytłukliby ich ludzie Oktina Hasza. Chcesz tego?

— Konradzie, złościsz się, a więc nie masz racji.

— Życie człowieka jest piękne, kiedy siedzi w Centrum Galaktycznym, a za niego myśli komputer. Widziałeś Białkę? Widziałeś jej młodszych braciszków? Rozmawiałeś z jej ojcem? Oni chcą żyć, rozumiesz?

— Postanowiliście więc spotkać się z Oktinem Haszem?

— To on postanowił się z nami spotkać.

— Uważa was za bogów?

— Oni wyznają bardzo pierwotną religię, ubóstwiają siły natury. Nie dopracowali się jeszcze koncepcji boga w ludzkiej postaci i dlatego nie możemy być dla nich bogami. Jesteśmy silnym plemieniem, które ma mnóstwo broni i dobytku. Pokonać nas nie sposób, więc trzeba się z nami dogadać. On zupełnie nie rozumie, czego my chcemy, a ciekawość jest jedną z najstarszych ludzkich cech.

— Jeździłeś do niego?

— Tak.

— Nie bałeś się?

— Nie. Istnieją stepowe prawa. Już je znamy: kontakt z hordą Białki jest dla nas źródłem bezcennych informacji. Kiedy ścigali uciekinierów, to podeszli pod nasz obóz. Zrozumieli, że nasza twierdza jest nie do zdobycia i że ja jestem wielkim wodzem.

— A czego ty się spodziewasz po tym spotkaniu?

— Tylko tego, żeby zostawili nas w spokoju. Żeby przestali napadać na nasze grupy badawcze. Step jest wielki. Niechaj idą dalej. Ta ziemia — Konrad zatoczył ręką — od jeziora do wzgórz jest nasza.

Wódz hordy Żelaznego Ptaka...

— Przecież nie mogę tłumaczyć Oktinowi Haszowi, że przylecieliśmy z Centrum Galaktycznego w celu dokonania badań kompleksowych. Z wariatami tu się nie cackają: włócznia w serce i po krzyku.

Do pokoju zajrzała Ingrid.

— Jadą — powiedziała. Chodźmy do kabiny łączności, popatrzymy.

* * *

Satelita łącznościowy zawisł nad obozem koczowników. Gdyby sam Oktin Hasz, władca północnego stepu, podniósł głowę do góry, mógłby na nieboskłonie dostrzec jedynie nikłą iskierkę, nic więcej.

Na wielkim ekranie widniał kłąb szarego kurzu, o wiele jaśniejszy niż trawa i błękitne powietrze. Kwatera główna Oktina Hasza znajdowała się na brzegu niewielkiej stepowej rzeczułki od paru tygodni, więc ludzie i konie wydeptały do szczętu trawę. Słaby wietrzyk spychał obłok kurzu w bok i z pyłu, niczym z mgły, sterczały garby namiotów, zupełnie innych niż wigwamy hordy Białego Wilka. Kły mastodontów obciągnięte były skórą dinozaurów. Namioty rozbiegały się promieniście od środka obozu, gdzie stał wielki namiot wodza. Obóz ogrodzony był pierścieniem wozów taborowych, za którymi rozciągały się daleko szałasy i daszki na palach, gdzie gnieździli się niewolnicy i słudzy, zamknięty zaś kolejnym pierścieniem śmietnisk, stert zwierzęcych kości, nawozu, połamanych wozów, dołów, do których wrzucano zmarłych — Oktin Hasz lubił porządek w obozie i nie interesował się tym, co dzieje się poza jego granicami.

Przed namiotem Oktina Hasza wznosiło się kilka wysokich słupów z zawieszonymi na nich końskimi ogonami, przed wejściem płonęły dwa ogniska, wypełniające nisko ścielący się kurz pomarańczowym blaskiem. Jeźdźcy, w hełmach ze zwierzęcych czaszek i pelerynach ze skrzydeł pterodaktyli — wysuszone pazury sterczały nad ich ramionami jak groteskowe epolety z niewielkimi lśniącymi tarczami z rekiniej skóry, ściskali bosymi piętami boki kosmatych koników i wymachiwali włóczniami. Czekali na wodza.

Dwóch wojowników ze straży przybocznej, zakutych w pancerze iguanodonów, wyszło przed wodzem z namiotu. Rozsunęli skórzaną płachtę zasłaniającą wejście i wówczas, tonąc po kolana w kurzu, wyszedł sam Oktin Hasz.

Był niewysoki, o głowę niższy od idących za nim ludzi. Korona z czerwonych piór podkreślała jeszcze jego mały wzrost.

Ubrany był oszczędnie w samą tylko krótką spódniczkę z tygrysiej skóry.

Zamiast konia nadzy niewolnicy przyprowadzili mu gigantycznego jaszczura.

— Stegozaur — powiedziała Ingrid. — Mamy zdjęcia całych karawan tych gadów, wiozących ładunki przez pustynie. Są tępe i posłuszne. Lepsze od ciężarówek, bo nie wymagają paliwa. Wystarczy, że popasa się na trawie i znowu są gotowe do drogi.

Między pionowymi, wysokimi na metr, płytami kostnymi na grzbiecie jaszczura znajdowało się wygodne siedzenie ze skór. Drugie, z przodu, przeznaczone było dla poganiacza. Ukłuty włócznią gad pokornie podkurczył grube nogi i dotknął brzuchem ziemi. Dwaj strażnicy uklękli, żeby wódz mógł wejść na ich plecy, a stamtąd na grzbiet gada. Stegozaur wstał i znieruchomiał.

Jeźdźcy zaczęli wściekle harcować dokoła, a potem ruszyli galopem do przodu.

Gad, niespiesznie przestawiając nogi, ruszył za nimi jak krążownik płynący za kutrami torpedowymi.

— On wcale nie jest taki powolny, jak się wydaje. Robi około dwunastu kilometrów na godzinę — powiedział Konrad.

— Są daleko stąd?

— Nie, będą za jakieś półtorej godziny. Trzeba się przygotować. Jean, ostrzegłeś hordę?

— Zaraz tam pójdę — powiedział filolog.

— Logika czasem jest zawodna — powiedział Konrad, zwracając się do Andrewa. — Jedzie zawrzeć z nami pokój. Niby bardzo dobrze. Ale jadą z nim zuchy, które mogą wyrżnąć całą osadę naszej hordy. Dlatego trzeba ją ostrzec.

— Tutaj ich schowacie?

— Wycofają się do lasu. Tak się umówiliśmy.

— Wpuścicie go na stację?

— Naturalnie — powiedziała Ingrid. — Wpuścił Konrada do swojego namiotu. Nie wpuścić do domu, znaczy śmiertelnie obrazić.

— A nie zechce skorzystać ze wspaniałej okazji?

— Oczywiście, odpowiednio się zabezpieczymy...

Andrew popatrzył na ekran. Satelita nie tracił z pola widzenia poselstwa kroczącego ku stacji.

Z przodu harcowali jeźdźcy. Niczym pszczoły odrywające się od roju myszkowali na boki i znowu powracali do gigantycznego stegozaura. Starszyzna i czarownicy jechali spokojnie, trzymając się za ogonem gada. Między płytami grzbietowymi jaszczura kołysała się czerwona iskierka upierzonej głowy Oktina Hasza.

— Medeo, sprawdź ze Stachem pole siłowe — poprosił Konrad. — Na stację wpuścimy tylko Oktina Hasza i jego doradców. Mamy godzinę czasu na zastanowienie się, jak to zrobić.

Andrew wyszedł na zewnątrz.

Było ciepło. Bardzo głośno grały cykady. Niedalekie ujadanie psa przebiło się przez ten dźwięk i ucichło. Gwiazdy były jaskrawe i nieznajome. Malutki księżyc szybko wędrował po niebie, przesłaniając gwiazdy. Tam, gdzie zaszło słońce, niebo było zielone, poliniowane czarnymi smugami obłoków. Wielki, szybki cień przemknął nad głową i Andrew odskoczył ku drzwiom.

Koło łańcucha zielonych ogników, granicy strefy siłowej, pojawiły się dwie czarne sylwetki. Ogniki pod ich stopami na sekundę zgasły, a potem zapłonęły jaskrawym, białym światłem — w barierze siłowej powstało przejście.

Jean i Białka podeszli do Andrewa.

— Spaceruje pan? — zapytał Jean.

— Cykady wam nie przeszkadzają? — zapytał Andrew.

— Ja się przyzwyczaiłem — odparł Jean. — Nie słyszę ich, jak starego zegara w pokoju sypialnym. Białka postanowiła pobyć z nami.

— A pozostali?

— Pozostali ukryli się w lesie. Nie lubią, kiedy wokół siebie mają otwarty step.

— Nie można uciec — powiedziała Białka.

— Dlaczego nie poszłaś ze wszystkimi?

— Chciałam zobaczyć ciebie — powiedziała Białka.

Jean uśmiechnął się lekko.

— Nie przywykł pan jeszcze do tutejszej prostoty uczuć i emocji — powiedział. — Białka zawsze mówi to, co myśli.

— Jean, ty się ze mnie śmiejesz?

— Nie, ja nigdy się z nikogo nie śmieję.

— Andrew to twój przyjaciel? Dlaczego on musi odlecieć?

— Mam pracę daleko stąd — powiedział Andrew.

— Jesteś myśliwym?

— Nie, przewodnikiem karawan.

Białka zwróciła się w stronę Jeana, czekając, żeby jej wytłumaczył.

— Andrew chce powiedzieć, że prowadzi wozy z towarem.

— Lepiej, żebyś był wojownikiem — powiedziała Białka potępiająco.

Poszli w kierunku stacji. Tam, przy świetle, Andrew mógł się dziewczynie dokładnie przypatrzyć. Wystroiła się. Miała na sobie krótki płaszcz z szarych i czarnych piór, a na szyi kilka sznurów paciorków z kamyków, ostrych pomarańczowych zębów i jakichś suszonych jagód. Niestety, wysmarowała tez brwi sadzą i na policzkach wymalowała sobie zielone wzory.

— Ładnie? — zapytała, pochwyciwszy spojrzenie Andrewa.

— Nie wiem — odpowiedział Andrew. — Jestem tutaj dopiero pierwszy dzień.

— Dziwnie mówisz — obraziła się Białka. — Jeden dzień, dwa dni, wiele dni: albo ładnie, albo nieładnie.

— A koniecznie trzeba to malować? — zapytał Andrew.

— Koniecznie. To nasz znak. Popatrz.

Białka wyciągnęła do Andrewa rękę, na której były wytatuowane takie same wzory, jakie namalowała na policzkach.

— Kiedy stanę się kobietą — powiedziała — na policzkach wytatuują mi takie same rysunki. Jestem córką wodza.

Stali w hallu stacji. Jeszcze parę godzin temu panował tu bałagan, pełno było skrzynek z próbkami i sprzętem przywiezionym z „Granatu". Teraz to wszystko sprzątnięto i przedpokój przejechano odkurzaczem. Dwa fotele, przyniesione z mesy, stały obok siebie pod ścianą. Pewnie dla Konrada i Oktina Hasza.

Białka szybko podeszła do foteli i usiadła w jednym z nich.

— Siadaj obok — powiedziała. — Ty będziesz Konrad, a ja Oktin Hasz.

Andrew usłuchał.

— Ale Oktin Hasz tu nie usiądzie — oświadczyła Białka. — My siedzimy na podłodze.

— A ty?

— Ja przywykłam. Mnie się tu podoba. Jean powiedział, że kiedy będziecie odlatywać, to weźmiecie mnie ze sobą. Wcale się z wami nie boję.

— A kiedy się boisz?

— Biegałeś kiedyś?

Andrew nie zrozumiał.

— Biegałeś, żeby cię nie zabili? Innych zabili, a ty biegniesz, uciekasz. Oktin Hasz zabił mojego przyjaciela. A potem zabił moją matkę. Ona leżała martwa, a my uciekliśmy i nie mogliśmy położyć jej w ziemi. To bardzo źle.

— To źle — zgodził się Andrew.

— Mój przyjaciel chciał wrócić. Mój przyjaciel powiedział: przyszedłem do twojego rodu. Znajdę twoją matkę. Oktin Hasz zobaczył go. Oktin Hasz zostawił swoich ludzi. Jest bardzo chytry. Jego ludzie czekali na mojego przyjaciela. Przywieźli jego głowę i rzucili ją. Ja zakopałam ją w ziemi.

Białka podkurczyła nogi i wygodnie usadowiła się w fotelu. Nogi miała podrapane, na kolanie bielała blizna.

— Oni nie znajdą naszych w lesie — powiedziała Białka. — Oni boją się chodzić nocą do lasu.

— Tutaj też nie masz się czego bać. Tutaj nikt ci nie zrobi krzywdy.

— Obronisz mnie?

— Nic ci nie mogą zrobić. Przecież wiesz, że dokoła tego domu jest niewidzialna ściana.

— A gdzie jest twój nóż?

— Nie potrzebuję noża.

— Twoi mają noże, które biją z daleka. Wiesz?

— Wiem.

— Oktin Hasz chciał mnie wziąć, żebym z nim żyła, gotowała mu mięso i rodziła dzieci.

— Widział cię?

— Przyjeżdżał do nas, żeby mówić o pokoju. Siedzieli z ojcem, a ja przynosiłam mięso. Powiedział ojcu: oddaj córkę, będziemy jak jedna horda. A ojciec powiedział, że jestem już obiecana. Oktin Hasz śmiał się i powiedział, że i tak mnie weźmie. On jest bardzo wesoły.

Białka spróbowała się uśmiechnąć. Bez powodzenia.

— On zawsze przychodzi mówić o pokoju, kiedy chce zabić. Powiedziałam Jeanowi. On idzie do was mówić o pokoju, a myśli jak was zabić. Jean powiedział, że się nie boi.

Do pokoju wszedł Konrad. Uśmiechał się z zadowoleniem.

— Sala audiencjonalna gotowa. Szkoda tylko, że nie mamy złotych foteli — powiedział. — Andrew, zajrzyj do jadalni. Jean wymieni ci ładunek w blasterze.

— Po co?

— Załaduje ci pociski usypiające. Nie chciałbym, jeśli dojdzie do nieprzewidzianych wypadków, żeby ktoś zginął.

— Mimo wszystko obawiasz się kłopotów?

— Oktin Hasz jest zdobywcą. Wprawdzie prehistorycznym, ale jednak zdobywcą. A zdobywcy sami ustalają zasady moralne.

— Miałem okazję osobiście się o tym przekonać — powiedział Andrew.

— Białka, idź do kuchni, Medea znajdzie dla ciebie coś smacznego.

— Boisz się, że Oktin Hasz mnie zobaczy? — zapytała dziewczyna, lekko podrywając się z fotela.

— A ty masz ochotę go zobaczyć?

— Niech Oktin Hasz wie, że mamy wielkich przyjaciół. Niech wie. A potem ruszymy na wyprawę i zabijemy go, prawda?

— Marsz do kuchni!

Białka wymknęła się z pokoju.

Konrad denerwował się, nie był przecież zdobywcą.

* * *

Stali od paru minut przy zielonych światełkach wyznaczających granicę pola siłowego.

Niebo, gęsto podziurawione otworkami jaskrawych, o wiele jaśniejszych od ziemskich gwiazd, było zielone tam, gdzie niedawno zaszło słońce. Przez granie cykad przebijało się odległe, ponure wycie.

— Wilki wyszły na polowanie — powiedział Konrad.

Poselstwo wydało się Andrewowi przedłużeniem nieba — nad horyzontem pojawił się łańcuch pomarańczowych gwiazdek. Gwiazdki migotały, zbliżały się i stawały coraz jaśniejsze — jeźdźcy Oktina Hasza trzymali w rękach pochodnie. Odblaski płomieni migotały na lśniących bokach stegozaura, który na podobieństwo czarnej góry wyłonił się z mroku. Poganiacz wydał urywany okrzyk i stegozaur znieruchomiał. Jego malutkie ślepka gorzały w świetle pochodni jaskrawą, drapieżną czerwienią. Potwór wolno kołysał głową na boki, jakby wywąchiwał przyszłą zdobycz.

Na widok grupy powitalnej jeźdźcy rozwrzeszczeli się, zaczęli wymachiwać włóczniami i pochodniami. Stegozaur wolno opadł na brzuch.

— Witam cię, Oktinie Haszu, wielki wodzu i mój bracie — powiedział Konrad. Jean przetłumaczył jego słowa.

Kilku jeźdźców zeskoczyło z koni. Dwaj podbiegli do stegozaura i opadli na czworaki, podstawiając plecy wodzowi.

Konrad uznał, że nastał odpowiedni moment do zaprezentowania niespodzianki. Podniósł rękę i na ten znak na stacji włączono latającą latarnię. Zawisły nad głowami reflektor zapłonął nieoczekiwanym, oślepiającym światłem. Andrew zmrużył oczy. Gdy je otworzył, wszystko dokoła wyglądało zupełnie inaczej. Stegozaur poderwał się na tylne nogi, a pazury jego przednich łap darły powietrze nad głowami jeźdźców. Poganiacz nie zdołał się utrzymać, zsunął się na wodza i razem z nim stoczył pod kopyta koni. Wrzaski, ryk stegozaura, przekleństwa Konrada, stukot kopyt, brzęk broni zlały się w okropny harmider przypominający odgłosy zaciekłej bitwy.

I już w następnej chwili, opanowawszy się, jeźdźcy rzucili się do przodu, tworząc barierę między wodzem a Ziemianami. Zębaty grot włóczni wyrósł nagle tuż przed oczami Andrewa.

Jean, który rzucił się na pomoc Oktinowi Haszowi, wpadł na wojownika, który jednym ciosem powalił go na ziemię.

Rozległ się skrzekliwy głos wodza.

Andrew, pomagając Jeanowi podnieść się z ziemi, zobaczył, że wódz już stoi sprężony, czujny i majestatyczny.

Gwardziści zaczęli uspokajać stegozaura. Włócznie opadły. Jean wygłosił długie zdanie, prosząc gości o wybaczenie. Potem była pauza. Jean zwrócił się do Konrada.

— Wytłumaczyłem — powiedział cicho — że nie pragnęliśmy zła. Że chcieliśmy jedynie godnie oświetlić miejsce spotkania...

Wtedy odezwał się Oktin Hasz.

— Mnie nie można przestraszyć — tłumaczył Jean. — Ja się niczego nie boję, ale wystraszyliście nasze zwierzęta. Tak się nie wita dostojnych gości.

Bardzo gruba kobieta, z oczami zapłyniętymi tłuszczem, ubrana w ciężkie, obszerne

futro, pochyliwszy się z trudem, podniosła z ziemi pomiętą koronę z czerwonych piór, doprowadziła ją do porządku i założyła na łysą głowę Oktina Hasza.

— Odjeżdżamy — zakończył tłumaczenie Jean. — Między nami będzie wojna.

— Jaka znowu wojna! — nie wytrzymał Konrad. — Będziemy rozmawiać. Nie zrobiliśmy nic złego. Andrew, zrób coś, pomóż. Przecież my musimy tu pracować!

— Powiedz mu, Jean — Andrew nie uwierzył w gniew wodza — że nie mieści nam się w głowach, żeby taki wielki i dzielny wódz jak Oktin Hasz zmienił nagle swoją decyzję tylko dlatego, że nad jego głową zapaliło się światło.

Mówiąc to, nie odrywał oczu od wodza. Wydało mu się, że cienkie wargi Oktina Hasza drgnęły w lekkim uśmiechu.

Oktin Hasz odpowiedział Andrewowi:

— Wielki wódz — z wyraźną ulgą w głosie przetłumaczył Jean — raczył przyjąć wytłumaczenie wodza hordy Żelaznego Ptaka i będzie z nim rozmawiał. Dokąd mamy iść?

* * *

Przejście w polu siłowym było otwarte i Oktin Hasz śmiało ruszył do przodu. Za nim tłum starszyzny i wojowników.

— Poczekajcie! — krzyknął Konrad. — Jean, powiedz mu, żeby reszta poczekała tutaj.

Jean nie zdążył przetłumaczyć, gdyż Ingrid, która obserwowała tę scenę od strony pulpitu sterowniczego, włączyła znów pole siłowe i pozostali na zewnątrz wojownicy wpadli na powietrzną ścianę.

Oktin Hasz zatrzymał się.

— Dlaczego oni tam zostali? — zapytał.

— Tu jest ciasno — odparł Konrad.

— Noc jest zimna, a moi wojownicy są głodni. Kto ich nakarmi?

— Tego tylko brakowało! — zirytował się Konrad.

— On ma rację. Gwałcimy stepowe prawo gościnności — powiedział Jean.

— Powiedz mu, że jedzenie zostanie wyniesione na polanę. Tam jest dużo miejsca. Niech trochę poczekają. Jadło będzie niebawem gotowe.

Kiedy Jean przetłumaczył, Oktin Hasz po krótkim namyśle skinął głową i rozkazał wojownikom, aby spokojnie czekali.

— Trzeba będzie otworzyć konserwy — powiedział Konrad wiedząc, że każde jego słowo słychać na stacji. — Pamiętajcie, że tam jest co najmniej dwudziestu ludzi!

Pierwszy ruszył w stronę domu, warcząc pod nosem:

— Oni doprowadzą nas do ruiny!

— Dobrze jeszcze, że nie przyjechał z większą świtą — powiedział Andrew.

Weszli do hallu. Oktin Hasz natychmiast dostrzegł dwa fotele.

Patrzył, jak Konrad podchodził do jednego z nich.

Wódz znakomicie panował nad sobą, Andrew musiał mu to przyznać. Przecież dzikus nigdy nie był wewnątrz stacji i białe ściany, biała podłoga, jasne światło, meble — wszystko to musiało go zaskoczyć. Towarzysząca mu kilkuosobowa świta przysiadła w kucki przy wejściu, lękając się wejść do środka.

Konrad usiadł i wskazał gościowi sąsiedni fotel. Oktin Hasz nie skorzystał z zaproszenia.

Oni przecież nie znają żadnych stołków, pomyślał Andrew.

Nagle wódz tubylców szybkim, małpim susem wskoczył na fotel i usiadł w nim z podkulonymi nogami.

Jego asysta głośnymi okrzykami zachwytu skwitowała ten wspaniały wyczyn.

— Jesteśmy radzi — powiedział Konrad, starając się zachować powagę — że wielki sąsiad przybył do nas z pokojem.

— Ja też kocham pokój — odparł wódz. Oczy miał czarne i błyszczące, jak ślepia myszy. — Wziąłem step pod swoją opiekę. Wszyscy, którzy są mi posłuszni, będą jeść mnóstwo mięsa...

— Ho! Ho! — ucieszyła się jego świta.

— Oktin Hasz proponuje wam oddać mu ten dom i wszystkie rzeczy, które w nim są. Za to zawsze będziecie syci i zadowoleni. Oktin Hasz wie, że macie wielu mężczyzn i mało kobiet. Oktin Hasz da wam mnóstwo dobrych kobiet.

— Jean, przekaż naszemu gościowi — powiedział Konrad — że nie pozostaniemy tu długo. Że nie chcemy władzy nad innymi hordami. Że pragniemy pokoju i nie chcemy, żeby wojownicy Oktina Hasza napadali na naszych ludzi.

— On zarzuca ci kłamstwo — przetłumaczył Jean. — Mówi, że wzięliśmy w niewolę hordę Białego Wilka, która uciekła od Oktina Hasza.

— Oni nie są naszymi niewolnikami — odparł Konrad. — Przyszli tu z własnej woli.

— I dasz mi córkę ich wodza, imieniem Billeguri. Moje błogosławione oczy spoczęły na niej.

— A ona się zgadza?

— Pytasz o pragnienia malutkiej kobiety?

— Tak u nas jest przyjęte.

Kiedy Jean przetłumaczył słowa Konrada, tubylcy siedzący koło drzwi zaczęli wydawać okrzyki oburzenia.

Oktin Hasz uśmiechnął się wąskimi wargami.

— Białe Wilki tchórzliwe uciekły ode mnie. Ona nie jest godna twojej troski, bracie.

Konrad popatrzył na Andrewa. Potrzebował rady.

— Jak go przekonać?

— Upieraj się przy swoim — powiedział Andrew. — On cię przecież wypróbowuje. Jak tylko w czymkolwiek ustąpisz, natychmiast zrobi krok do przodu.

Oktin Hasz patrzył na Andrewa.

— Chce, żebym przetłumaczył pańskie słowa — powiedział Jean do Andrewa.

— Proszę przetłumaczyć, nic strasznego się nie stanie.

Jean przetłumaczył.

Oktin Hasz poruszył w zadumie wargami.

— Na mojej radzie — powiedział — młodsi nie odważają się dawać rad wodzowi. A może jesteś większym wodzem niż Konrad?

Andrew nie zdążył odpowiedzieć, gdyż do hallu zajrzał Tejmyr i zapytał, jak podawać jedzenie wojownikom? Czy można w plastikowych pojemnikach? I jak będą spożywać posiłek wodzowie? Nakryć w jadalni?

— Co on mówi? — Oktin Hasz był spięty i czujny.

Jean wytłumaczył mu, że problem polega na tym, jak karmić jego wojowników.

— Jadło gotowe? — Oktin Hasz zapytał o to tonem pewnego siebie gospodarza. — W takim razie poślę mojego czarownika z waszymi ludźmi, którzy zaniosą jedzenie. Musi je oczyścić, bo wasi ludzie mogli je zepsuć.

— Jeszcze czego! — Konrad był szczerze oburzony. — Po co mielibyśmy psuć jedzenie? Przecież sami je jemy.

— Nie znamy myśli naszego szanownego brata — odparł Oktin Hasz. — Być może śmierć moich wojowników sprawi mu przyjemność.

Konrad popatrzył bezradnie na Andrewa.

Bruce rozumiał przyczyny jego zmieszania. Konrad był przekonany, że spotkanie z Oktinem Haszem stanie się czymś w rodzaju naukowego widowiska. Skarbem dla etnografów i antropologów. Bezpośrednia rozmowa ze stepowym zdobywcą, rejestrowana przez ukryte kamery! Podarunki zostały przygotowane, poczęstunek dla wodza stygnie w jadalni. Porażony potęgą ludzi tubylec pokornie obiecuje nie napadać już więcej na grupy polowe, nie rozrabiać i na stepie zapanuje błogi spokój. A Oktin Hasz okazuje się tak dalece pierwotny, że nie działają na niego eleganckie wnętrza stacji i potęga Konrada, który potrafi zapalać słońce nad głową, i w ogóle nie życzy sobie traktować Konrada jako potężnego przybysza, przed którym należy padać na twarz. Widzi w Konradzie jeszcze jednego stepowego watażkę, równie podstępnego i prymitywnego, jak on sam. I zamiast wysłuchać rozumnych propozycji Konrada, nie wiedzieć czemu sam zaczyna zgłaszać żądania i lada moment zacznie grozić.

Nie doczekawszy się od Bruce'a pomocy, Konrad powiedział do Aksela:

— Kochany, niech ten szaman idzie i próbuje, co chce. A ty, Jean, powiedz naszemu gościowi, że przejdziemy teraz do jadalni, gdzie podany zostanie skromny posiłek.

— Nie będę mówił, że posiłek jest skromny — zaoponował Jean. — Tak nie należy mówić. To nie jest tu przyjęte.

— No to powiedz, że przygotowaliśmy królewską, bajeczną, zdumiewającą ucztę! — zirytował się Konrad.

Jean powiedział.

Andrew patrzył na cienkie ręce Oktina Hasza, które niczym bicze wysuwały się spod tygrysiej narzutki. Ręce były pokryte gęstym tatuażem. Lewą owijał granatowy wąż, którego ogon krył się pod tygrysią skórą, a głowa leżała na wewnętrznej dłoni. Prawa ręka była pokryta wzorami, wśród których dawały się rozróżnić zębate ryby.

— Jesteśmy niezadowoleni — usłyszał głos Jeana, tłumaczącego znów słowa wodza. — Nie oddaliście nam hordy Białego Wilka, nie chcecie pokoju. Znaczy będzie wojna. Sami zabierzemy ci twoich niewolników, a ty ze sznurem na szyi będziesz szedł za moim wozem.

Mówiąc to, Oktin Hasz nawet nie drgnął. Był całkowicie spokojny. Podczas gdy Jean tłumaczył, on zajął się oglądaniem swojego fotela. Nieuważnie przejechał paznokciem po tapicerce, a potem zaczął drapać się w wielki palec u nogi, upodabniając się do rozumnej małpy.

— Nie chcemy wojny powiedział Konrad. — Jesteśmy potężnymi ludźmi. Jesteśmy silniejsi od wszystkich twoich drużyn i dobrze o tym wiesz.

— Nie wiem o tym — powiedział Oktin Hasz — bo jeszcze nie walczyliśmy. Ale myślę, że moi wojownicy są silniejsi.

— Czego on chce? — zapytał Konrad Andrewa. — Ni cholery nie rozumiem. Rzeczywiście chce z nami walczyć?

— Wątpię — odparł Bruce. — On nawet nie raczył udać gniewnego. Zapytaj go, czy chce z nami wymieniać towary albo handlować.

Oktin Hasz popatrzył uważnie na Andrewa.

Jean przetłumaczył.

— Co mi dacie? — Oktin Hasz wpatrywał się refleksyjnie w wielki palec u nogi.

— Mamy jadło, ozdoby, mamy kotły do gotowania strawy. — Konrad zamyślił się... Z czego by jeszcze można było zrezygnować? Kapitan Cook miał dobrze: umyślnie zabrał ze sobą paciorki dla tubylców.

— Sami zdobędziemy sobie pokarm powiedział Oktin Hasz. — I mamy go z czego jeść. Potrzebujemy broni. Żelaznej.

Ich włócznie mają żelazne groty — pomyślał Andrew. — Trzeba to sprawdzić. Wyjść do wojowników i sprawdzić.

Ale Konrada to nie zastanowiło. Konrad myślał o czymś innym.

— Nie możemy dać wam broni i żelaza — powiedział twardo. Nie możemy, bo będziesz zabijał innych ludzi. Oto, po co przyjechał Oktin Hasz — zrozumiał Andrew.

— Cała reszta to kamuflaż.

— A po co innego potrzebna jest broń? — zdziwił się Oktin Hasz. — Po co potrzebne jest żelazo?

— Żelazo potrzebne jest, żeby budować, żeby wydobywać rudę, orać pola i robić inne potrzebne rzeczy — powiedział Konrad pouczającym tonem, ale jego słowa nie znalazły żadnego zrozumienia.

— Żelazo potrzebne jest, żeby podbijać — równie pouczająco powiedział Oktin Hasz i starszyzna siedząca na podłodze gwałtownie zaczęła kiwać głowami, zdumiewając się mądrości wodza.

Oktin Hasz odrzucił połę narzutki — u pasa wisiały dwa noże w skórzanych pochwach. Bez pośpiechu wydobył jeden z nich i podał go Andrewowi, którego widocznie uznał za ważniejszego wodza niż Konrad.

Andrew wziął nóż. Nóż był stalowy. Wystarczył jeden rzut oka, aby to zrozumieć. Ale nawet nie to było najbardziej zaskakujące. Andrew zrozumiał, że ostrze wykonano z fabrycznie walcowanego płaskownika, który następnie pocięto na kawałki i naostrzono. Oczywiście, nikt na tej planecie nie potrafi wytapiać żelaza, a tym bardziej stali. Ale Oktin Hasz nie wiedzieć skąd zdobył prawdziwą stal...

— To dobry nóż — powiedział Andrew i zwrócił go wodzowi. Z czego zrobiona jest ta piękna rękojeść?

Oktin Hasz poczekał na przekład i bardzo się zdziwił. Po raz pierwszy nie mógł powstrzymać zdziwienia.

— Rękojeść zrobiona jest z zęba rekina — przetłumaczył Jean i dodał od siebie: — To naprawdę stal?

— Tak — odpowiedział Andrew. — Później o tym pogadamy.

* * *

Spod sufitu, z głośnika łączności wewnętrznej, rozległ się głos Tejmyra:

— Jedzenie dla wojowników jest już gotowe. Białka mówi, że powinno smakować. Zaniesiemy je pod barierę. Gdzie jest ich kontroler? Niech sprawdzi.

Oktin Hasz nawet nie spojrzał na sufit. Nie wypuszczał z rąk noża, wciąż jeszcze zastanawiając się nad słowami Andrewa.

Konrad powiedział:

— Oktin Hasz prosił, żeby jego czarownik skontrolował jedzenie. Niech pójdzie i sprawdzi.

Oktin Hasz wysłuchał przekładu i rzucił parę słów grubej, łysej babie, ubranej w wielkie futro. Baba zachichotała i ciężko podniosła się z podłogi. Bruce zrozumiał nagle, że to nie kobieta, tylko kastrat.

— Andrew — poprosił Konrad zmęczonym głosem — nie mógłbyś go odprowadzić? I wracaj jak najszybciej.

Andrew ruszył ku drzwiom, czarownik za nim.

Na zewnątrz czekał już Tejmyr przy wózku, na którym stał kocioł z pokrywką i skrzynka pełna podpłomyków.

Białka stała pod ścianą, lękając się wyjść na światło, ponieważ całkiem blisko, za niewidzialną barierą, tłoczyli się wojownicy, którzy na widok jadła podnieśli gwar i zaczęli wymachiwać włóczniami. Widocznie rzeczywiście zgłodnieli.

Czarownik podreptał w stronę wózka.

— On co, zamierza próbować? — zapytał Tejmyr.

z załogi, rozkażą odejść tym dzikusom na bok i lekarz da Andrewowi środek przeciwbólowy... I będzie tylko wstyd, że stary wróbel dał się podejść jak dziecko.

Nagle zrobił się ruch, krzyki nasiliły się — nawet nie wiedząc, co się dzieje, wojownicy zaniepokoili się. Rozwrzeszczeli się poganiacze byków, dokoła zaroili się jeźdźcy.

Ale jasna smuga skryła się za niewysokim wzgórzem, tam, gdzie widać było słabą łunę dopalającej się stacji.

Tego należało się spodziewać, zrozumiał Andrew. Najpierw powinni wylądować przy stacji. Przecież nie wiedzą, co się stało. Dopiero kiedy zobaczą pogorzelisko — zaczną szukać ludzi...

Przez harmider przebił się wysoki, ostry, rozkazujący głos. I natychmiast wszystko ucichło, tylko skrzypiały koła i sapały byki.

Karawana skręciła w prawo. Teraz wszyscy szli jeszcze szybciej, wiedząc, gdzie można się ukryć.

Ale gdzie się ukryjecie? Przecież nie zatrzecie swoich śladów — pomyślał Andrew.

— Ha! — powiedział półgłosem wojownik, trącając Andrewa w ramię.

W przedzie paliły się ogniska. Ich płomień oświetlał okrągłe namioty wielkiego obozowiska.

* * *

Na środku namiotu palił się gliniany kaganek. Wojownik, który przyprowadził Andrewa, stał czujnie, nie opuszczając włóczni.

— Nie licz na to, że nasi o nas zapomną. Na pewno tu się zjawią — powiedział do niego Bruce.

Wojownik coś odpowiedział i uśmiechnął się pod nosem.

W namiocie cuchnęło. Pod ścianą leżała sterta skór.

Płachta zasłaniająca wejście została odsunięta na bok i do środka wszedł nisko pochylony Jean. Miał rozcięte czoło i smugę zaschniętej krwi na policzku. Ręce też miał związane.

— Jean! — Andrew ucieszył się, że nie jest już sam. — Żyjesz!

— Krzyczałem do ciebie — powiedział Jean — ale widocznie mnie nie usłyszałeś. A Konrada zabili... I Tejmyrika.

— Podstępne dzikusy! — powiedział Andrew. — Ale to nic, jeszcze się z tego wydostaniemy.

Chciał podejść do Jeana, ale wojownik zagrodził mu drogę włócznią.

W tym momencie do namiotu wepchnięto Aksela Akopiana, który ze wszystkich sił się opierał. Oko miał podbite, na policzku siniak.

— No i została nas trójka — powiedział Andrew. — A może ktoś jeszcze przeżył?

— Nie — odparł Aksel. — Nie łudź się. Jean, jesteś tutaj?

— Zabili Konrada — powiedział Jean.

— Przylecą nasi i rozpędzimy ich.

— Już przylecieli — powiedział Andrew.

— Widziałem — mruknął Aksel. — Szukają nas.

Wszedł pękaty kastrat w futrze i z radosnym uśmiechem rozsiadł się na skórach.

— Zapoznaj go z naszym stanowiskiem — zażądał Aksel.

Ale czarownik odezwał się pierwszy.

— Każe nam się rozebrać — przetłumaczył Jean.

— A to niby dlaczego? — zapytał Aksel. — Zapytaj go, dlaczego?

— Niewolnicy chodzą nago — przetłumaczył odpowiedź szamana Jean.

— Jacy z nas u diabła niewolnicy! — oburzył się Aksel. — Niech mu się nie wydaje, że mu to wszystko ujdzie na sucho.

Ale grubemu czarownikowi nie takie rzeczy uchodziły na sucho.

Po paru minutach jeńcy zostali rozebrani do naga. Jean i Andrew poddali się tej procedurze dobrowolnie i bezboleśnie, natomiast Aksel wzbogacił się o kilka dalszych sińców.

Szaman przyglądał się tej operacji radośnie chichocząc i dłubiąc w nosie.

Potem w namiocie pojawił się jeszcze jeden osobnik — nagi, garbaty chłopiec, który przydźwigał naręcze brudnych skór. Miało to być ubranie jeńców. Przyniósł też dzbanek wody. Jeńcy napili się, ale nie spieszyli się z zakładaniem nowych strojów.

Nastąpiła pauza, którą czarownik niewłaściwie zinterpretował.

Powiedział, że niewolnikom nie przysługuje inna odzież. Ta odzież nie jest gorsza od innej. Skóry były brudne i roiły się od pcheł.

Andrew potrząsnął jedną ze skór, którą wyciągnął z naręcza. Uniosły się tumany kurzu. Szaman kichnął i zaczął wrzeszczeć falsetem. Andrew poczuł się okropnie zmęczony i śpiący. Reakcja nerwowa, oczy same się zamykają. Przysiadł wprost na klepisku namiotu. Na moment, i więcej już niczego nie pamiętał.

Szaman znał zioła. Wiedział, jakie wywołują ból brzucha, a jakie goją rany. W wodzie, którą przyniósł mały garbusek, był napar z nasennych korzeni.

* * *

Andrew wszystko przespał.

Nie widział, jak garbaty chłopiec przyniósł kilka garści szarego błocka i wymazał tym błotem twarze jeńców i ich gołe nogi. Przyszedł jeszcze jeden mężczyzna z ostrymi, cienkimi nożami. Wysmarował im włosy rzadką gliną i zeskrobał ją, pozostawiając na głowach jedynie wąskie pasma, wskutek czego twarze jeńców zmieniły się nie do poznania. Szaman sam narysował czarną farbą na ramionach i rękach śpiących jeńców wzory tatuażu i obejrzał z zadowoleniem swoje dzieło. Zawołał Otkina Hasza, któ-

ry także przyjrzał się jeńcom i powiedział, że czarownik zrobił wszystko jak należy.

Jeńców przeniesiono do wielkiego namiotu, w którym trzymano niewolników. Ułożono ich między nimi i od tej chwili przestali się wyróżniać w ludzkiej masie: nawet wpatrując się uważnie w twarze nie sposób było dociec, kto jest miejscowym niewolnikiem, a kto profesorem fizyki lub kapitanem Floty Kosmicznej.

Natomiast dobytek z ograbionej stacji został ukryty na śmietniskach i w dołach wykopanych pod niektórymi z namiotów.

Przezorni tubylcy zdążyli na czas. Nad obozowiskiem pojawił się kuter planetarny.

Jego załoga została przyjęta bardzo wrogo — dziesiątki jeźdźców otoczyły kuter, wygrażając włóczniami, krzycząc i opluwając dowodzącego wyprawą nawigatora, który cieszył się, że przezornie założył wzmocniony skafander.

Potem jednak zaprowadzono go do wielkiego namiotu, gdzie na podwyższeniu pokrytym skórami siedział malutki, łysy człowieczek z energicznym podbródkiem i mocno zaciśniętymi, wąskimi wargami, nad którymi zwisał cienki nos.

Nawigator usiłował wytłumaczyć na migi, że chce obejrzeć obozowisko. Mały człowieczek jadł mięso, które brał z miski długimi, zakrzywionymi palcami. Kości rzucał do kąta, gdzie siedziała stara kobieta, która chwytała je w locie i obgryzała. Nawigator nie wiedział, że jest to matka Oktina Hasza, którą karmiono tu z litości. Była stara i nikomu niepotrzebna.

Wreszcie mały wódz wstał i zaczął oprowadzać nawigatora po obozowisku. Towarzyszył im tłum dzikusów. Nawigator był człowiekiem bardzo upartym. Zaglądał do każdego namiotu i do szałasów, w których gnieździli się niewolnicy. Widział śpiących Ziemian, ale ani on, ani ludzie obserwujący tę inspekcję z pokładu „Granatu" nie odróżnili ich od setek innych niewolników. Właśnie na to liczył Oktin Hasz.

Przekonawszy się, że w obozie nie ma ani jeńców, ani żadnych śladów, które pozwalałyby łączyć obozowisko z zagładą stacji, nawigator zameldował na statek, że wraca.

* * *

Straszliwie bolała go głowa. Właśnie ten ból obudził Andrewa. Jeszcze niezupełnie przytomny, spróbował ścisnąć sobie dłońmi skronie i natychmiast zrozumiał, że jego głowa się zmieniła. Była inna w dotyku. Pomyślał, że ma koszmarne sny. W namiocie było mroczno, cuchnęło brudnymi ludzkimi ciałami i źle wyprawionymi skórami. Obok ktoś jęknął. Andrew uniósł głowę jęczący człowiek był bardzo do kogoś podobny. Był brudny, miał po barbarzyńsku ostrzyżoną głowę i wytatuowane ręce. Człowiek otworzył oczy i Andrew zrozumiał, że to jest Jean.

Aksela odszukali w przeciwległym końcu namiotu. Jeszcze spał.

— Po co to zrobili? — zastanowił się Andrew.

— Uważają nas za niewolników — powiedział Jean — i chcą, żebyśmy wyglądali jak

niewolnicy. W świecie powinien panować porządek, nawet w świecie pierwotnym.

— Żebyśmy wyglądali jak niewolnicy... — powtórzył Andrew. — A może oni są mądrzejsi, może lękali się, że zaczną nas szukać?

— Nie przeceniaj ich możliwości — zaoponował Jean. — Przyleciałem tu blisko pół roku temu i jestem przekonany, że podobne myśli nie mogą im przyjść do głowy. Nie ten poziom rozwoju. Gdyby byli na tyle sprytni, nigdy by na nas nie napadli. To przecież szaleństwo!

— Ale ten szaleńczy zamiar im się powiódł...

Obudził się Aksel. Andrew powiedział do niego:

— Zamienili nas w niewolników. Nawet głowy ogolili... Tak że nie dziw się.

— Co u diabła! — Aksel obmacywał głowę. — Po co im to?

— Od czasów pierwotnych mózg człowieka się nie zmienił — powiedział Andrew wracając do sporu z Jeanem. — Różnica polega jedynie na zasobie informacji. Oktin Hasz zna zioła, potrafi jeździć na stegozaurze i rzucać dzirytami. My wiemy, jak należy posługiwać się komputerem i włączać światło.

— Przecież nie mówiłem, że on jest głupszy od nas! — zaperzył się Jean. — Jest tylko inaczej skonstruowany i nie potrafi wyobrazić sobie następstw swoich uczynków.

— Ciekawe zatem, kto złapał nas w pułapkę?

— Dlaczego my tu siedzimy? — Aksel podszedł do otworu wejściowego namiotu i ostrożnie odsunął zasłaniającą go płachtę. Na dworze panował zmierzch.

— Cholera! — wykrzyknął Jean, jakby zgadując myśli Andrewa. — Już wieczór. Musieli nam dać jakiś narkotyk...

— Trzeba uciekać — powiedział — Aksel.

— Dokąd? — zapytał Andrew.

— Na step, a potem do stacji.

— Żeby nas po dziesięciu minutach dopędzili?

— O ile znam ten teren — powiedział Jean — to tutaj step ciągnie się dziesiątki kilometrów, i pełno jest na nim rozmaitych paskudnych stworzeń.

— No to co, będziemy tu siedzieć i czekać, aż nas usmażą?

— Proponowałbym zbytnio się nie spieszyć — powiedział Andrew. — Jestem przekonany, że „Granat" pozostał na orbicie. Najprawdopodobniej, kiedy spaliśmy, był tu już nasz kuter.

— No to dlaczego nas nie znaleźli? — zapytał Aksel tonem skrzywdzonego dziecka.

— Sam bym pana nie odróżnił od miejscowych niewolników.

— To tylko przypuszczenie — powiedział Jean.

— Trzeba uciekać — powtórzył Aksel. — Doczekajmy nocy i w nogi.

Dwaj wojownicy przynieśli kocioł z ciepłą, cuchnącą polewką. Postawili kocioł przy wejściu i zostali popatrzeć, jak nowi niewolnicy będą jeść.

Jadł Andrew i Jean. Obaj posilali się, walcząc z obrzydzeniem, a z boku ich próby wyłowienia z polewki czegoś pożywnego wyglądały tak żałośnie, że wojownicy tarzali się ze śmiechu. Aksel kategorycznie odmówił jedzenia.

— Godność Ziemianina to brzmi dumnie — powiedział Andrew — ale zachowanie życia może być pożyteczne.

— Za cenę poniżenia?

— Miałem ciotkę — powiedział nieoczekiwanie Jean. Rozejrzał się dokoła, znalazł na ziemi drewnianą miseczkę, wytarł ją dłonią i zaczerpnął nią polewki z kotła. — Ta ciotka bardzo śmiesznie wojowała z moją córeczką. Jak równa z równą. Córka miała pięć lat, a ciotka pięćdziesiąt sześć. Rozumiesz, one kłóciły się jak równa z równą.

— Nie rozumiem cię.

— Nie chcesz mnie zrozumieć, gdyż w przeciwnym razie cała twoja duma nie będzie warta funta kłaków.

Aksel odwrócił się do ściany.

— Jeśli wy nie chcecie, to ucieknę sam — powiedział po krótkiej pauzie.

— Wie pan, kogo mi pan przypomina? — zapytał Andrew i sam sobie odpowiedział: — Przypomina mi pań zwiadowcę ze staroświeckiej powieści przygodowej, który dostaje się w łapy wrogów i odrzuca wszelkie poczęstunki i próby przekupstwa.

— Takie porównanie mi pochlebia — powiedział Andrew.

— A tymczasem oni nie są naszymi wrogami — zauważył Andrew.

— Bruce — powiedział Aksel tonem smutnym i gorzkim. — Pan jest tutaj obcy. Dla pana Konrad, Tejmyr, Medea, Ingrid, to zaledwie imiona. Dla mnie oni są bliżsi niż krewni. A ci bandyci ich zamordowali.

— Oni i my żyjemy w odmiennych światach, które nie mają żadnych punktów stycznych, a pan usiłuje narzucić im własną psychikę.

Wykwalifikowany genetyk, nadzieja fakultetu, wieczny prymus nagle okazał się niewolnikiem jakiegoś dzikiego plemienia — ta zmiana statusu okazała się dla Aksela nie do zniesienia i Andrew Bruce doskonale rozumiał, że trzeba mieć chłopaka na oku, gdyż w przeciwnym razie może narobić głupstw.

— Cholerny świat! — Aksel miotał się po namiocie, wymachując rękami. — Gdybym miał blaster, zastrzeliłbym tego Oktina Hasza jak psa! Jeśli ktoś tego nie zrobi, to ten dzikus zamorduje jeszcze tysiące ludzi.

— Gdyby nie było Oktina Hasza, jego miejsce zająłby ktoś inny — powiedział Jean. — Bez tego historia nie może się obejść. Po pewnym czasie i tutaj zapanuje prawdziwy humanizm.

— Jestem głęboko przekonany, że my, jako starsi bracia, mamy obowiązek ingerować.

— I karać, jeśli będą niegrzeczni?

— Karać i nagradzać.

— Okazuje się, że jesteś bardzo humanitarnym treserem — zauważył Andrew, wyciągając się na twardych skórach. Natychmiast rzuciły się na niego pchły.

— To bardzo stary spór — powiedział Jean, który siedział na ziemi i wściekle się drapał. — W centrali już dawno dowiedziono, że naturalny rozwój cywilizacji jest o wiele pomyślniejszy, ponieważ nie tworzy dualizmu świadomości, nie przygotowanej jeszcze do przyjęcia ideałów.

— Brednie. Jeśli odebrać im dzieci i wychować w normalnych warunkach, to staną się one ludźmi nie różniącymi się niczym od nas. Sami przecież twierdzicie, że mózg człowieka się nie zmienił — zaoponował Aksel.

— A więc humanitarna tresura z rezerwatami hodowlanymi dla dzieci. A może nie warto zawracać sobie tym głowy? — zapytał Jean. — Może prościej byłoby wytępić dorosłych?

— Po co te żarty? Czy teraz jest pora na żarty?

— Na żarty zawsze jest pora — powiedział Andrew. Wstał — w skórach było stanowczo za dużo pcheł.

Za ścianką namiotu rozległy się krzyki, gwizd, śmiech — działo się coś ciekawego.

Andrew uchylił płachtę przy wejściu. Wartowników na zewnątrz nie było. Obok ciężko dyszał Aksel.

Widowisko było rzeczywiście imponujące. Kilka koni, niczym liliputy z Guliwera, ciągnęło przez obóz cielsko dinozaura. Cielsko miało jakieś piętnaście metrów długości, nie licząc co najmniej dziesięciometrowego ogona. Wokół cielska mrowiły się dzieci i krzątały kobiety. Dinozaura rzucono na placyk, pośrodku obozowiska. Pojawił się tłusty szaman. Jego pomocnik niósł za nim krótki miecz. Tłum rozwrzeszczał się, czekając na kulminację przedstawienia.

Szaman wziął miecz i zatrzymał się przy brzuchu dinozaura.

Stał tak dość długo, a tłum zachęcał go okrzykami do działania.

Wreszcie czarownik wbił miecz aż po rękojeść w ciało gada, Chwyciwszy za rękojeść obiema rękami, usiłował rozpruć pierś potwora. Było mu ciężko — obrzmiała twarz zrobiła się mokra od potu.

Odrzuciwszy miecz, czarownik wsunął obie ręce w rozcięcie i gwałtownym ruchem wyrwał serce dinozaura. Serce było wielkie, ciężkie i miękko zwisało w rękach kastrata. Tłum wydał wrzask zachwytu.

— Trudno przywyknąć — powiedział Jean za plecami Andrewa.

— Po co przywykać? Przecież nie zamierzamy być do końca swoich dni niewolnikami Oktina Hasza!

Do starego szamana z dwóch stron podskoczyli wojownicy i wzięli ciężkie serce. Dźwignęli je wysoko na rękach — krew kapała im na twarze i ramiona — i ponieśli do

Oktina Hasza.

Wódz wyjął nóż, pochylił się, odkroił pasemko mięsa i włożył je do ust. Żuł kawałek serca, a tłum podskakiwał z zachwytu.

— Z nimi zamierzasz walczyć? — zapytał Andrew, odwracając się do Aksela.

Aksel zniknął.

— Jean, gdzie on jest? — zapytał Andrew.

Jean zajrzał do namiotu.

— Tam go nie ma — powiedział.

— Tak myślałem. Uciekł!

Wprost nad ich głowami rozległ się ostry krzyk.

Oktin Hasz podjechał do nich bezszelestnie. Jego wargi były umazane krwią.

Jean odpowiedział cicho na jego pytanie.

— O co pytał?

— Zapytał, gdzie jest trzeci. Powiedziałem, że niedługo wróci. Boli go brzuch, a nie chciał brudzić w namiocie.

Ta odpowiedź Oktina Hasza nie zadowoliła. Głośno gwizdnął.

Natychmiast wszyscy w obozowisku zapomnieli o dinozaurze. Zaczęło się zamieszanie, jak w mrowisku, które skropiono wrzątkiem.

Wojownicy podbiegli do jeńców i wepchnęli ich do namiotu.

— Idiota — Jean rąbnął pięścią w środkową podporę namiotu. — Smarkacz!

Jean wdał się w kłótnię z wojownikami, którzy coś do niego krzyczeli.

Nieoczekiwanie — jakby ktoś zatrzymał zegar — zamieszanie ustało.

Jeden z wojowników stojących przed wejściem do namiotu coś powiedział.

— Mówi, że go schwytali.

Do namiotu wszedł Oktin Hasz.

— Zły niewolnik nie jest gospodarzowi potrzebny — powiedział, patrząc na Andrewa, i lekko się uśmiechnął. — Ty rozumiesz, ty jesteś wodzem.

Jean dodał od siebie:

— Obawiam się, że go zabili.

— Ja też — powiedział Andrew.

Oktin Hasz spokojnie przysłuchiwał się rozmowie jeńców.

Kiedy uznał, że już dość się nagadali, wypowiedział długie zdanie, które wytrąciło Jeana z równowagi tak dalece, że zaczął się z dzikusem spierać. Oktin Hasz niemal żartobliwie pogroził mu nahajką i poszedł sobie.

— Co on znowu wymyślił?

— Powiedział, że pojedziesz z czarownikiem do świątyni czarownic. Jesteś wodzem. Czarownice, a może wiedźmy, nie wiem, jak należy przełożyć określenie tych istot, czekają na ciebie. A ja zostanę tutaj. Jestem mu potrzebny, bo znam ich język. Powiedziałem

mu, że nie chcemy się rozstawać. A on... sam widziałeś!

— Co to za świątynia?

— Nie byłem tam. To gdzieś w górach. Sądząc ze zdjęć satelitarnych niczego ciekawego tam nie ma.

Już zaczęło się ściemniać, w namiocie było mroczno, w wejściu czerniały nieruchome sylwetki wojowników. Andrewowi wydało się, że pod ścianą namiotu stoi Aksel, ale to było jedynie wspomnienie o Akselu. Bruce pragnął wierzyć, że Aksel żyje, tylko został od nich oddzielony, i dlatego nie rozmawiał o nim z Jeanem.

— Masz jakiś plan? — zapytał Jean.

Filolog miał dziwny zwyczaj — rozmawiając, zacierał ręce, jakby zamierzał opowiedzieć jakiś bardzo śmieszny kawał.

— Poczekajmy, aż się zupełnie ściemni. Sądzę, że w nocy wszyscy tu będą spać. Musimy dotrzeć do koni. Bez koni natychmiast nas złapią.

— Nigdy nie jeździłem konno — powiedział Jean przepraszającym tonem.

— Innego wyjścia nie ma. Musimy liczyć na to, że planeta jest stale obserwowana ze statku.

— A jak im damy o sobie znać?

Andrew wzruszył ramionami.

Płachta przy wejściu odsunęła się i bryłowata postać szamana zasłoniła niebo.

Piskliwy głos wypełnił cały namiot.

— On mówi — w głosie Jeana brzmiała rozpacz — że masz wyjść.

— To znaczy, że nasze plany ulegną pewnej modyfikacji — powiedział Andrew, starając się, żeby głos brzmiał spokojnie. — Czekaj na mnie. Wszystko będzie w porządku.

Jean podszedł do Andrewa. Jego oczy wydawały się w półmroku czarne i ogromne. Jean bał się. Jeszcze nigdy w życiu nie zostawał sam wśród ludzi, którym było wszystko jedno czy ktoś żyje, czy nie.

Podał Andrewowi rękę — zimną i wilgotną.

Objęli się.

Szaman kołysał się w otworze wejściowym.

Jean poszedł za Andrewem ku wyjściu, gdzie jeden z wojowników zagrodził mu drogę.

Na pokrytym kurzem placyku czekała grupka jeźdźców. Czarownika podsadzono z honorami na krzepkiego konia, który ugiął się pod jego ciężarem. Andrewa bezceremonialnie wrzucono na grzbiet kosmatej kobyłki i związano mu nogi pod jej brzuchem. Ruszyli. Po bokach jechali wojownicy.

Odwróciwszy się, Andrew zobaczył, że w obozowisku panuje ruch. Z niektórych namiotów pościągano skóry, pozostawiając jedynie ogromne kły mastodontów tworzące

ich szkielet. Spod końskich kopyt wzbijały się tumany kurzu.

Na „Granacie" również widziano ten kłąb kurzu — szarą plamę na ciemnej równinie. Dyżurny obserwator dał maksymalne powiększenie i zobaczył, że grupka składa się z tubylców, których można było rozpoznać po strojach i dziwnych fryzurach. Dyżurny pomyślał, że z obozowiska wyruszają w step zwiadowcy albo myśliwi i odnotował ten fakt w dzienniku obserwacji.

Odnotował również i to, że ledwie się ściemniło, kilku innych jeźdźców wyruszyło z obozu, w którym ukrywały się resztki hordy Białego Wilka. Podjeżdżając do obozowiska Oktina Hasza zwolnili, wjechali na pobliskie łagodne wzgórze i tam zeskoczyli z koni.

Dyżurny z zainteresowaniem obserwował te dyslokacje. To dziwne, myślał, że widzę ich z tak niesłychanej dla nich wysokości. Dla mnie oni są punkcikami, mróweczkami w ciemnym bezmiarze stepu. A każdy z nich stanowi odrębny świat. Któregoś z jeźdźców może boleć ząb, inny myśli o swoich dzieciach pozostawionych w obozie. Inni przeklinają wodza, który ciemną nocą posłał ich w drogę. Nic ich nie obchodzą nasze lęki i nadzieje. Dla nich śmierć i ruch są nierozłączne, i te wędrówki przez step mogą doprowadzić do śmiertelnej potyczki. Będą świstać strzały, a ja ich nie usłyszę. Któryś z jeźdźców będzie broczył krwią, konał w trawie i nie wiedząc o tym spotka się ze mną swym ostatnim spojrzeniem.

* * *

Po pół godzinie kawalkada przeszła w stępa. Step wyglądał jak ogromna, płytka czara wypełniona błękitnym powietrzem i aromatem ciepłych traw. Tu, na otwartej przestrzeni, cykad było znacznie mniej i ich granie nie zagłuszało innych dźwięków — dalekiego ryku i groźnego sapania jakiegoś zwierza, nagłego, niknącego w oddali tupotu mnóstwa kopyt, pisku schwytanego przez sowę gryzonia... W przedzie zapłonęły na kształt jaskrawych latarni zielone ślepia.

— Iiiii-ho! — wrzasnął wojownik jadący obok Andrewa, spiął piętami konia i już w galopie rzucił włócznię. Rozległo się warczenie i latarnie znikły.

Gruby szaman, kołyszący się jak poduszka na grzbiecie swego perszerona, zaczął mówić szybko i piskliwie. Pochylił głowę, żeby zajrzeć Andrewowi w oczy, jakby nie dopuszczał myśli, że na świecie są ludzie, którzy go nie rozumieją.

— Co mam ci powiedzieć? — odparł Andrew po rosyjsku. — Ja też jestem ciekaw, dokąd się tłuczemy po nocy. Nie rozumiem waszych pobudek. Pewnie się spieszycie, skoro nie położyliście się spać, jak przystoi normalnym ludziom.

— Ho! — powiedział szaman, jakby ta odpowiedź go zadowoliła.

Potem już jechali w milczeniu. Wojownicy nie odzywali się, wsłuchując się czujnie w niezrozumiałe dla Andrewa odgłosy nocnego stepu.

W przedzie ukazała się ciemna plama, którą wojownicy dostrzegli wcześniej niż Andrew. Zaczęli rozmawiać. Jeden z nich chlasnął nahajką konia, na którym jechał Andrew, żeby nie zostawał w tyle.

Po kilku minutach oddziałek podjechał do kępy drzew otaczających dolinkę, w której biło źródło.

Zaszeleściły liście — w powietrze poderwały się spłoszone nietoperze. Spod drzew wyprysnęły w step malutkie antylopy. Kilku wojowników pogalopowało za nimi, strzelając z łuków. Wielki wąż poruszył się w trawie, przemykając tuż pod nogami konia, który stanął dęba, chrapiąc z przerażenia, i wojownik ledwie zdołał podtrzymać Andrewa.

Wojownicy zsiedli z koni. Widocznie postanowili zanocować.

Andrew ogromnie się ucieszył — związane nogi mu zdrętwiały, całe ciało miał obolałe. Nic dziwnego, na koniu nie siedział już co najmniej dziesięć lat, a na oklep nie jeździł nigdy. Kiedy rozwiązano mu nogi, przewrócił się i wojownicy długo się z niego śmieli. Czarownik pisnął na nich.

Czarownik wyjął krzemień, hubkę i zaczął krzesać ogień. Wojownicy przynieśli suche gałęzie i niebawem zapłonęło ognisko.

Dziwne, pomyślał Andrew. Po diabła wyruszyli wieczorem i już po trzech godzinach zatrzymali się na nocleg? Dlaczego nie wyjechali rano?

Gdzieś szumiała rzeczka — w nocy dźwięki daleko się rozchodzą.

Wojownicy rozwiązali woreczki zawieszone przy pasach, zaczęli wyjmować z nich wędzone mięso, jakieś korzonki. Nikt nawet nie pomyślał o nakarmieniu Andrewa, który zresztą pragnął tylko jednego: wyciągnąć się jak długi, pozwolić odpocząć obolałym nogom i grzbietowi.

Jakoś nie mógł usnąć. Zmęczone myśli krążyły wokół możliwości ucieczki.

Nie związali mnie... Może zapomnieli, a może uznali to za niepotrzebne... Od obozowiska jechaliśmy przez step, równiną, bez żadnych punktów orientacyjnych. Przejechaliśmy jakieś trzydzieści kilometrów. Jeśli nawet ze statku przeczesują powierzchnię planety, to mnie nie zauważyli. Zresztą jak niby mogli mnie zauważyć, jeśli nie różnię się niczym od innych mieszkańców stepu? Jedyna nadzieja — dać jakiś znak na orbitę. Wszystko to są pobożne życzenia w romantycznym duchu. Załóżmy, że ukradnę konia, załóżmy, że zdołam stąd odjechać... Jak zmylę pogonie, skoro oni znają na tym stepie każdy krzaczek, każdą trawkę?

Wojownicy siedzieli przy ognisku i cichutko wyli. Gruby szaman klaskał w dłonie i od czasu do czasu popiskiwał.

Andrew poruszył palcami nóg. Wyglądało na to, że drętwość minęła.

Podniósł się wolno, jak to czyni treser w towarzystwie nie ujarzmionych jeszcze tygrysów: najważniejsze — nie spłoszyć.

Czarownik popatrzył na niego, o coś zapytał.

Andrew pokazał gestami, że musi się załatwić.

Czarownik skinął głową, zrozumiał. Jeden z wojowników wstał, podniósł z ziemi włócznię i ruszył za Andrewem, nie spuszczając go z oczu.

Kiedy Andrew wrócił, szaman podał mu bukłak z wodą.

Wojownik związał mu ręce i nogi. Nie chcieli ryzykować. A więc pomysł z kradzieżą konia trzeba będzie odłożyć na później.

Bohater powieści przygodowej ma dobrze. Zawsze potrafi przetrzeć więzy o tylko czekający na to ostry korzeń i na szybkim koniu pomknie na spotkanie wiatrowi i wiernym przyjaciołom. Andrew poruszył rękami. Sznur był zawiązany fachowo i solidnie.

Ognisko dopalało się. Jeden z wojowników położył się obok Andrewa. Czarownik siedział przy gasnących węglach jak nastroszone ptaszysko. O czym on myśli? Może o sensie życia? Andrew ułożył się wygodniej. Po ręce przebiegł mu jakiś owad. Wojownik wstał i poszedł na skraj lasku pilnować miejsca popasu. Bulgotała woda w źródełku. W oddali szumiała rzeczka. Coś zaszeleściło w trawie. Oto podróżujesz po egzotycznej planecie, kapitanie Bruce. W trochę niezwykły sposób. Andrew bez przerwy poruszał przegubami rąk, aby rozluźnić sznur. Nie dlatego, że spodziewał się coś przez to osiągnąć, tylko po to, żeby zwyczajnie coś robić... Zaginął bez wieści, napiszą o mnie, pomyślał.

* * *

Obudziło go czyjeś dotknięcie.

Kiedy całe ciało jest czujne, mózg też całkowicie nie usypia i wystarcza byle szmer, byle muśnięcie, żeby człowiek się obudził, ale pozostał nieruchomy. Skoro jest się wśród wrogów...

Andrew nie otwierał oczu. Czekał.

Czyjaś ręka obmacała jego twarz. Palce były szorstkie.

Potem do ucha przylgnęły gorące wargi i rozległ się szept, cichy jak tchnienie wiatru:

— Andrew.

Andrew otworzył oczy i bardzo ostrożnie obrócił głowę.

Zbliżał się świt, powietrze było błękitne. Zobaczył tuż przy sobie czyjąś głowę i oczy odbijające światło gwiazd.

— Cicho, cicho — szepnęła Białka.

Andrew zauważył błysk noża, który lekko i szybko ciął jego pęta. Sznur pękł, ostrze ześlizgnęło się i ciachnęło po ręce. Niemal nie zabolało, ale natychmiast trysnęła krew.

— Nogi też — wyszeptał.

Cień zasłonił gwiazdy. To Białka pochyliła się nad jego nogami.

— Czołgaj się za mną — powiedziała po chwili.

Trzymała go za rękę i ciągnęła za sobą.

Andrew uniósł się wolno i trącił kolanem rękę śpiącego obok wojownika. Skoczył w bok, z trudem tłumiąc okrzyk przestrachu.

— Nie bój się — szepnęła Białka. — On nie jest żywy.

Dotarli do skraju lasku. Step był srebrzysty od księżycowego światła.

Wprost przed nimi stał jeździec, zbyt wielki na tle nieba.

— To mój brat — powiedziała Białka.

Jeździec trzymał za uzdy dwa konie.

— Tylko nie wierzchem! — omal nie wyrwało się Andrewowi.

Bez strzemion wgramolić się na konia nie było łatwo. Andrew skoczył, chybił i spadł na ziemię. Koń zarżał. Brat Białki szarpnął Andrewa za łokieć, pomagając mu dostać się na koński grzbiet.

Narobili trochę hałasu.

W tym momencie w zaroślach rozległ się krzyk.

— Szybciej! — krzyknęła Białka i coś jeszcze rzuciła urywanym głosem bratu.

— Iiiieh! — krzyknął brat. — Iiiieh!

Jego krzyk utonął w eksplozji tętentu koni i ogłuszającego wrzasku. Ze stepu pędziła ku nim grupa jeźdźców. Koń Andrewa zakręcił w miejscu, ale Białka, która już twardo siedziała na grzbiecie swojego wierzchowca, wczepiła się w jego grzywę i pociągnęła za sobą, na spotkanie jeźdźców, którzy przemknęli tuż obok, pędząc w stronę lasku.

Andrew i Białka pogalopowali w step.

— To moi! — krzyknęła dziewczyna.

Z tyłu dobiegł straszliwy hałas — krzyki, brzęk broni, pisk, rżenie koni.

Białka pędziła przodem. Andrew za nią. Jego rumak sam wiedział, co ma robić, Andrew musiał jedynie trzymać się na jego grzbiecie.

Step zaczął opadać w dół. Tam rozciągało się skłębione morze mgły, w którym Białka stopniowo się pogrążała. Mgła sięgała końskich brzuchów, następnie zalała Białkę po pas, pierś, szyję, aż wreszcie pochłonęła razem z głową. Zniknęła i już nic nie było widać. Był tylko stukot kopyt i dobiegające z tyłu krzyki.

— Ostrożnie! — krzyknęła Białka z mgły. — Jedź wolno. Będzie woda!

Koń nie bardzo chciał słuchać, jakby wiedział, że jeździec nie potrafi nim kierować.

Woda szumiała gdzieś o parę kroków. Przez jej plusk przedarł się stuk przesuwanego kamienia. Powiew wiatru odpędził mgłę i Andrew zobaczył przed sobą szeroką, niespokojną wstęgę wody, przetaczającej się cienką warstwą po obłych kamieniach, Koń stąpał ostrożnie, kamienie rozsuwały się pod jego kopytami.

— Hej! — zawołała półgłosem Białka, — Żyjesz?

— Wszystko w porządku — powiedział Andrew.

Przeprawa przez rzekę, płytką, lecz bardzo szeroką, zajęła mnóstwo czasu. Potem

brzeg zaczął się łagodnie wznosić ku górze i po dalszych paru minutach wydostali się z mgły.

Gwiazdy zblakły, nad horyzontem pojawiło się różowe pasemko — lada moment powinno wzejść słońce.

Białka nadstawiła ucha. Andrewowi wydawało się, że spod białej waty nie przedostaje się najmniejszy nawet dźwięk. Ona jednak coś usłyszała. Powiedziała:

— Można trochę odpocząć.

— Jak mnie znalazłaś? — zapytał Andrew.

— Nasz człowiek was pilnował.

Szybko się rozwidniało i światu powracały barwy. Czoło Białki przecinała metalowa obręcz zdobna ametystami, za którą było zatknięte wielkie niebieskie pióro, jakby dziewczyna bawiła się w Indian. Podobna była do chłopaka. Włosy ostrzyżone na jeża, cienki, lekko garbaty nos z rozdętymi nozdrzami, policzki zapadnięte, oczy uważne i czujne. Ubrana była w czarną skórzaną kurtkę z naszytymi kościanymi płytkami i króciutką spódniczkę ledwie zakrywającą biodra. Ręce do połowy obnażone, za szerokim pasem dwa noże.

— Ścigają nas? — zapytał Andrew.

— Nie teraz. Później. Ale nie zdążą.

— Wytłumacz — poprosił Andrew. Miał wielką ochotę zsiąść z konia, na którym czuł się bardzo niepewnie. Nie mógł jednak przyznać się do tego dziewczynie, która wyglądała jak żeńskie wcielenie centaura.

— Mamy bardzo mało wojowników — powiedziała Białka. — Całkiem mało. Ile palców u rąk. Rozumiesz?

— Dziesięciu.

— Tak, dziesięciu, i jeszcze dwóch, i mój ojciec jest chory. Ojciec powiedział: Oktin Hasz pogwałcił pokój. Oktin Hasz jest wrogiem. Wrogiem naszym i naszych przyjaciół. Rozumiesz? Zabił pana Konrada. Zabił Medeę. Wziął do niewoli trzech mężczyzn.

— Aksela zabili?

— Aksela zabili. A my nie mogliśmy zabić Oktina Hasza. Mają mnóstwo ludzi. Oni patrzą. Potem mój brat przyjechał i mówi: tego, co przyleciał wczoraj, powieźli do świątyni czarownic. Z nim są dwie ręce wojowników i czarownik, który nie jest mężczyzną. Wtedy powiedziałam: mężczyzna, który przyleciał wczoraj, to wielki wódz Andrew. Ojciec jest chory. Potrzebujemy nowego wodza. Będziesz moim mężczyzną. Rozumiesz?

— Prawie wszystko — odparł Andrew, starając się zachować powagę, Nie podejrzewał dotąd, że nie tylko Oktin Hasz zamierzał decydować o jego przyszłości.

Białka dostrzegła uśmiech w jego oczach.

— Nie śmiej się! — Ścisnęła kolanami konia, który natychmiast stanął dęba.

— Będziesz się śmiał, ja cię zabiję. Nie wolno się ze mnie śmiać. Duchy zobaczą, że śmiejesz się z córki naszego wodza i będzie hańba dla naszej hordy.

— Wcale się nie śmieję — powiedział Andrew. — Opowiadaj dalej.

— Dopędziliśmy was przy małym lesie. Wiedzieliśmy, że będziecie tam spać.

— Dlaczego wyjechaliśmy wieczorem, a potem zatrzymaliśmy się na nocleg? — zapytał Andrew.

— To jest jasne — powiedziała Białka, która nie wiedzieć czemu uważała, że wszystko, co jest jasne dla niej, musi być jasne również dla Andrewa.

Zamilkła i zaczęła nasłuchiwać. Ostatnie gwiazdy zgasły, gdzieś we mgle nad wodą głucho zaśpiewał ptak.

— Koniec — powiedziała Białka. — Katuradż.

— Co?

— Katuradż znaczy żegnaj — powiedziała dziewczyna.

— Z kim się żegnasz?

— Z bratem — odparła Białka. — Już go nie ma.

— Umarł?

— Odszedł tam. — Białka uniosła rękę w górę, ku rzadkim pierzastym obłokom.

Twarz miała spokojną i trudno było dociec czy rozpacza, czy też pogodziła się z nieuchronnością utraty.

— To wszystko ja wymyśliłam. Jak cię obudzę i wyprowadzę. Jeden człowiek obok ciebie obudził się. Zabiłam go. Wyprowadziłam ciebie. A moi bracia napadli na czarownika i jego ludzi. Potem pogalopowaliśmy w inną stronę. Czarownik myśli, że jesteś razem ze wszystkimi, i jadą za moimi braćmi. A my przeszliśmy rzekę.

— Popędzili braci?

— Dopędzili jednego brata... inni uciekli.

— Tak daleko słyszysz?

— Ja słyszę tutaj — dotknęła piersi. — A tutaj — wskazała ucho — słyszę, jak czarownik i jego ludzie wrócili do malutkiego lasu i teraz szukają naszych śladów. Niedługo pogalopują w tę stronę.

— Musimy się spieszyć?

— Poczekaj. — Białka zeskoczyła na ziemię. Do kawałka skóry, który zastępował jej siodło, miała przytroczoną torbę. Rozwiązała ją i wydobyła dwa kawałki wędzonego mięsa. Będziemy jeść — powiedziała. — Teraz mamy czas.

Andrew usłuchał. Nie rozumiał, dlaczego najpierw tak pędzili, a teraz mają na coś czekać.

— Nie dopędzą nas? — zapytał.

— Teraz nas nie dogonią — odparła.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na zroszonej trawie i zaczęła rwać kawałki mię-

sa mocnymi białymi zębami.

— Jedz — powiedziała, widząc, że Andrew trzyma mięso w ręku i nasłuchuje. — Nie bój się. Ja jestem chytrzejsza od czarownika. Jesteś mężczyzną, nie powinieneś się bać.

— Masz rację — powiedział Andrew. — A po co oni mnie wieźli do tej... świątyni?

— Do świątyni czarownic? Czarownice czekają na ciebie. Jesteś niezwykły. Czarownice będą zadowolone. Pomogą Oktinowi Haszowi.

— To bardzo przyjemne — powiedział Andrew.

— To bardzo nieprzyjemne. — Białka nie żartowała. — Potem oddadzą cię wielkiej rybie. Katuradż.

— Nie chciałaś, żeby mnie oddali wiedźmom?

— Po co nam martwy wódz? — zdziwiła się Białka.

Andrew znowu musiał przyznać jej rację.

Mgła odpełzła, jakby zabrana, wchłonięta przez rzekę. Ukazał się przeciwległy brzeg, wznoszący się łagodnie ku górze i przechodzący następnie w równy step, gdzie na samym horyzoncie widoczna była ciemna plama, kępa drzew, w której Andrew nocował ze swoimi konwojentami. Po drugiej stronie rzeki stał po kolana w wodzie niewielki jaszczur i leniwie kołysał głową, jakby się zastanawiał czy powinien wejść głębiej do wody, czy lepiej pogrzać się na słonku, którego krawędź wyłoniła się już znad horyzontu.

Nagle jaszczur gwałtownie poderwał swoją zgrabną, wężową główkę.

Andrew uniósł wzrok i zobaczył, że od lasu w stronę rzeki pędzą malutcy z tej odległości jeźdźcy.

— Białko, patrz! — powiedział. Odrzucił niedojedzony kawałek mięsa i ruszył w stronę swojego konia.

Koń również niespokojnie się poruszył, wyprężył szyję i rozdął chrapy.

— Słyszę — powiedziała Białka. Podniosła z ziemi kawałek mięsa i zapytała: — Nie będziesz jadł?

— Nie.

— Nie rzucaj mięsa, to jedzenie. Trzeba je kłaść do torby, jeśli nie dojadłeś. — Mówiła głosem starszej siostry, która musi tłumaczyć najprostsze rzeczy nierozgarniętemu braciszkowi.

— Czemu stoisz?

— Tutaj nie sięgnie — powiedziała dziewczyna.

Jaszczur wyskoczył z wody i zaczął pędzić na spotkanie jeźdźców. Nie wiedzieć czemu bał się ich mniej niż rzeki. I zaraz potem Andrew usłyszał głuchy, dudniący szum, groźny i niepojęty. Znieruchomiał i popatrzył w stronę, z której przy akompaniamencie owego dudnienia toczyło się przez resztki mgły, pod prąd rzeki, coś ogromnego. Cofnął się nawet mimowolnie o parę kroków w górę zbocza, ale zatrzymał się widząc, że Białka

nie rusza się z miejsca.

Jeźdźcy zauważyli uciekinierów i zaczęli zwalniać bieg koni. Jeden z nich uniósł łuk i strzelił. Strzała nie doleciała do Białki. Wówczas najzapalczywszy z prześladowców zdzielił konia nahajką i runął do przodu.

Niedaleko brzegu wojownik wypuścił strzałę, która spadła u samych nóg Andrewa. Białka kocim ruchem podniosła ją i zwinnie odrzuciła. Strzała przeleciała nad rzeką i odprowadzając ją wzrokiem Andrew zrozumiał, co tak hałasuje. Po rzece, jakby ktoś rozwijał gigantyczny, lśniący dywan, toczyła się stroma fala, wypychając pianą spokojnie pluszczącą wodę.

Jeździec, który tak nieprzezornie zbliżył się do wody, usiłował zawrócić konia. Spłoszony koń kręcił się w miejscu, a kiedy fala była już blisko, zrzucił jeźdźca, a zaraz potem i człowieka, i zwierzę zagarnęła woda, skotłowała... Głowa konia na moment ukazała się wśród piany, ale fala już się przetoczyła i w kotlinie rozlała się względnie spokojna woda.

Rzeka stała się dwukrotnie szersza.

Przerażającemu grzmotowi fali towarzyszył dźwięczny śmiech Białki.

— Czemu się śmiejesz? — zapytał wciąż jeszcze wstrząśnięty Andrew.

— Widziałeś, jak śmiesznie — powiedziała dziewczyna, wycierając łzy. — Iiieh! I nie ma go.

— Mnie się to nie wydaje śmieszne.

— To był wróg — wyjaśniła Białka.

— Powiedz — poprosił Andrew — jak daleko stąd do morza?

— Morza?

— Do wielkiej wody. Do bardzo wielkiego jeziora, którego brzegów nie widać.

— Wielka woda? Pół dnia pieszo.

— Fala przychodzi codziennie?

— Codziennie. O świcie.

— To znaczy, że codziennie o świcie nadchodzi fala przypływu. Wszyscy o tym wiedzą. Dlatego szaman wyjechał wieczorem, żeby przed świtem zdążyć przejść przez rzekę, i dlatego nie bałaś się, że nas dopędzą.

— Pewnie — powiedziała Białka obojętnym tonem. — Jeśli wiesz, to po co pytasz?

— Co dalej?

— Dalej pojedziemy do miejsca, gdzie góra rozcięta jest nożem — powiedziała Białka. — Tam będą czekać moi bracia. Pora.

Wskazała ręką na przeciwległy brzeg, gdzie wojownicy Oktina, puściwszy konie, zbili się w ciasne kółko.

Wzniosła się nad nimi czarna smużka dymu, która wciąż grubiała i strzelała coraz wyżej. Potem czarownik coś wrzucił do ogniska i dym nabrał pomarańczowej barwy.

— Co oni robią? — zapytał Andrew.

— To znak — odparła Białka. — Robią znak dla swoich ludzi na tym brzegu. Oni widzą znak i spieszą nas schwytać.

— Rozumiem — powiedział Andrew.

Tym razem wskoczył na konia już za pierwszym razem, i koń też już widocznie się do niego przyzwyczaił.

Wkrótce pościg znikł im z oczu, ale słup czarnego i pomarańczowego dymu był jeszcze długo widoczny.

* * *

Konie szły dość ostrym kłusem, ranek był chłodny i wilgotny. Kwitnące jeszcze trawy wypełniały powietrze ciężkim aromatem. Jaskrawe motyle i gigantyczne ważki latały nad stepem. Jedna z ważek — skrzydła miała przynajmniej pół metra długie — leniwie uciekała przed archeopteryksem, który chybiał raz za razem, zmylony powolnością owadziego lotu. Białka kierowała się nie wprost ku wzgórzom, lecz trzymała się w pobliżu rzeki. Andrew zrównał się z nią i pojechał obok.

— Nie chcę prosto — powiedziała dziewczyna. — Oni myślą, że pojedziemy prosto. Oni tam czekają.

Machnęła ręką w stronę wzgórz.

— Jak długo będziemy jechać? — zapytał Andrew.

— Długo. Ale nie bardzo. Twoja horda zginęła — powiedziała Białka. — Teraz jesteś w hordzie Białego Wilka. Mój ojciec umrze, ty będziesz nasz wódz. Dobrze?

— Myślę, że moja horda nie zginęła — powiedziała Andrew. — Przylecą po nas.

— To dobrze — ucieszyła się Białka. — Oni przyjdą i razem zabijemy Oktina Hasza.

Nie było sensu z nią dyskutować.

— U Oktina Hasza został Jean — powiedział Andrew po krótkiej pauzie. — Muszę go uwolnić.

— Oni go pewnie nie zabiją — powiedziała Białka. — Oktin Hasz będzie go trzymał. Jean zna język. To czarownik.

Andrew uwierzył Białce. To było rozsądne — tłumacz mógł się przydać Oktinowi Haszowi, który był nad podziw przewidujący. Ale Białka zaraz rozwiała te iluzje.

— Tylko teraz on chyba odda Jeana wiedźmom — powiedziała w zadumie.

— Dlaczego?

— Ty jesteś wielki wódz. Ciebie chcą wiedźmy. A jeśli ciebie nie ma, to kogo ma oddać? Trzeba dać innego. Bardzo proste.

— Jeana złożą w ofierze zamiast mnie?

— Oktin Hasz nie ma więcej ludzi z twojej hordy — wyjaśniała Białka. — Bardzo szkoda Jeana. On jest dobry. Uczył mnie.

— Możemy go uwolnić?

— Nie wiem — odparła Białka. — Nie mamy ludzi. Zupełnie mało moich braci. Zgodzili się uwolnić ciebie, bo powiedziałam, że jesteś moim mężczyzną i wielkim wodzem.

— Jean też będzie mężczyzną w naszej, waszej hordzie.

— Nie jesteś mądry — zachmurzyła się Białka. — Żeby uwolnić Jeana trzeba, żeby zginęli wszyscy moi bracia.

— Dlaczego muszą zginąć?

— Bo teraz Oktin Hasz sam zawiezie Jeana do świątyni. On nie chce się dwa razy pomylić. Nie wolno rozgniewać wiedźm.

— Oktin Hasz też tam jedzie?

— On jedzie wolno. Mnóstwo wozów, mnóstwo ludzi, idą wolno. A ciebie posłali przodem, żeby szybko. Trzeba rozumieć!

Białka uderzyła piętami konia, który przeszedł w galop. Koń Andrewa popędził za nim.

Sytuacja bez wyjścia, kretyńska sytuacja. Okazało się, że swoją ucieczką naraził na śmierć Jeana. Diabli by wzięli tę planetę.

— Szybciej! — krzyknęła Białka. — Gnała konia w stronę niewielkiego wzgórka, który niczym głowa zakopanego po szyję olbrzyma wznosił się nad stepem.

W jej głosie brzmiał niepokój. Białka miała znakomicie skonstruowany układ nerwowy — przejmowała się dokładnie tak długo, jak długo było trzeba. Ani sekundy dłużej. Żadne dodatkowe niepokoje, którymi z pomocą wyobraźni katuje się człowiek cywilizowany, nigdy jej nie dręczyły.

Konie, ciężko dysząc, wjechały na szczyt wzgórza.

— Patrz — powiedziała Białka.

Andrew niczego nie widział.

— Jesteś jak ślepy starzec — oburzyła się Białka. — Jak zostałeś wodzem, kiedy jesteś taki głupi?

I w tym momencie Andrew zobaczył.

Przez step, rozsuwając wysoką trawę, płynęło brunatne cielsko.

— Tyle mięsa! — powiedziała z żalem Białka. — Tyle dobrego mięsa. Bardzo trudno go złapać.

Gigantyczny mastodont — wielkie cielsko na grubych nogach, trąba wyciągnięta do przodu, trzymetrowe kły zawinięte do góry — zbliżał się do pagórka.

Dopiero w tym momencie Andrew zobaczył obławę.

Najpierw wydało mu się, że to wielkie małpy, rude i szare, które biegły, opadając czasem na czworaki, a czasem prostując się i poruszając na dwóch nogach. Biegły w milczeniu — i step, dopiero co rozświergotany i rozbrzęczany — zamilkł w oczekiwaniu na

wynik pogoni.

Kiedy mastodont zbliżył się, Andrew zrozumiał, że te stworzenia są zbyt wielkie i zbyt łatwo poruszają się na dwóch łapach, aby być małpami.

— Uuusz — wyszeptała Białka. — Bardzo złe.

Mastodont tracił siły i już tylko przerażenie gnało go do przodu. Jeden z łowców wyprzedził go i podskoczywszy chwycił za kieł. Olbrzym zadarł głowę i podrzucił napastnika wysoko do góry, ale nie zdołał go strącić.

To stało się sygnałem dla reszty napastników, którzy rzucili się hurmem na mastodonta, chwytając go za nogi i wdrapując mu się na grzbiet. Zwierzę, niczym żuk oblepiony przez mrówki, usiłowało pozbyć się wrogów, ale robiło to już jakby bez przekonania. Zachowywało się jak ofiara, która poczuła bliskość nieuchronnej śmierci.

Andrew zauważył, że jeden z myśliwych, który wczepił się w grzbiet mastodonta, trzyma w ręku duży, zaostrzony kamień, którym szybko i gwałtownie wali w nasadę szyi zwierzęcia. Za chwilę trysnęła stamtąd fontanna gęstej, niemal czarnej krwi. Olbrzym od razu osłabł, zwolnił i upadł o jakieś dwieście metrów od wzgórka, na którym stali ludzie.

— Szybciej — szepnęła Białka. — Dopóki są zajęci.

Zaczęli zjeżdżać po przeciwległym zboczu. Andrew odwrócił się i zobaczył pysk, a właściwie twarz małpy — jedna z nich usłyszała stukot końskich kopyt i popatrzyła za nimi.

To nie była małpa, ale i nie człowiek.

— Pitekantrop? — powiedział na głos Andrew.

— Oni są bardzo źli — powiedziała Białka, ściskając piętami boki konia. — Dobrze, że są zajęci. Biegają jak konie. Jeśli dopadną człowieka, to zabijają i zjadają.

— A wy ich zabijacie?

— Pewnie, że zabijamy — odparła Białka. — Przecież oni są źli. Kiedy nasza horda była duża i silna, nieraz robiliśmy wielkie polowanie. Byłam jeszcze mała. Wiesz, jak oni się biją? Zabili jednego mojego brata. Wypuściłam pięć strzał, pięć strzał weszło w jednego pitekantropa, a on ciągle chciał mnie zabić. To było wielkie polowanie, ieh!... Ale oni mają bardzo niesmaczne mięso.

Andrew jeszcze raz popatrzył do tyłu. Wzgórze zasłoniło pitekan-tropy.

Step znowu ożywał, wypełniał się brzęczeniem i świergotem. Poza tym wyglądał na pusty, tylko daleko, na samym horyzoncie pasły się jakieś wielkie zwierzęta.

— Andrew — powiedziała Białka — weź.

Podała mu jeden ze swoich noży. Nóż był żelazny.

— Skąd je bierzecie? — zapytał Andrew. — Potraficie robić takie noże?

— Nie. Wymieniamy je na różne rzeczy.

— Z kim?

— Dawniej, kiedy nie było Oktina Hasza, posyłaliśmy ludzi do świątyni wiedźm. Wiedźmy dawały nam noże i inne żelazne rzeczy. Ale teraz nie możemy tam pójść. Tylko Oktin Hasz tam chodzi. Zostało nam mało strzał i noży.

— A skąd wiedźmy mają żelazo?

— Kto to wie? Wiedźmy go chyba robią... Bo niby skąd by brały?

— Właśnie to mnie interesuje — powiedział Andrew. — Bardzo interesuje.

— My tam nie pójdziemy — powiedziała Białka tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Ale musimy uwolnić Jeana.

— Mogłam cię uratować, bo czarownik miał mało ludzi. A Jeana uratować nie można. Jak będziesz walczył ze wszystkimi wojownikami Oktina Hasza? Oni cię zabiją, Mają tyle strzał, że zamienią cię w wielkiego jeża. Tyle strzał będzie z ciebie sterczeć.

Jechali bez dalszych przygód przez jakieś trzy godziny. Zrobiło się gorąco, Wiatr ustał, niebo zblakło, stało się białe i rozżarzone. Konie ledwo przestawiały nogi.

— One chcą pić — powiedziała Białka.

— Ja też — przyznał się Andrew.

— Niedługo będzie woda. Trzeba czekać. Jesteś jak malutki. Czy mężczyzna mówi, że chce spać albo jeść?

— A kobiety mówią?

— Tylko niewolnice — odparła Białka. Ton jej głosu świadczył o tym, że ona na pewno nie jest niewolnicą.

Góry stawały się coraz bliższe i stopniowo traciły barwę przejrzystego błękitu. Okazały się w istocie jasnopłowe.

— Tam będziemy czekać — powiedziała Białka. — Tam przyjdą bracia. Teraz już niedaleko.

Kopyta koni zastukotały po twardym gruncie. Zmiana odgłosu była tak nieoczekiwana, że Andrew drgnął. Okazało się, że wjechali na drogę. Droga była stara, pokryta spękanym betonem, w którego szczelinach rosła bujna trawa.

— Poczekaj — powiedział Andrew, zatrzymując konia i zeskakując na ziemię.

— Musimy się spieszyć — powiedziała Białka. — Po co zszedłeś? Zmęczyłeś się?

— Muszę to obejrzeć — powiedział Andrew. — Dokąd prowadzi ta droga?

— Nie wiem.

— Od dawna tu jest?

— Głupi, to stara droga. Ona tu jest zawsze.

Andrew odłupał kawałek betonu — był bardzo stary i kruszył się w palcach. Spojrzał do przodu: droga ginęła w wysokiej jak człowiek trawie. Odwrócił się: tam również szosa ginęła w zieleni.

— Bardzo ciekawe — powiedział, wdrapując się na konia. — Są tu inne takie drogi?

— Są. A co?

— Nigdy się nie zastanawiałaś, kto je zrobił?

— My wiemy. To starzy ludzie. Ci, którzy mieszkali tu przed nami.

— A gdzie się oni podziali?

— Przecież powiedziałam: starzy ludzie. Oni umarli.

— Kto ci to powiedział?

— To wszyscy wiedzą.

Pojechali dalej drogą, która czasem zupełnie ginęła w zaroślach krzewów i trawie, a potem znów trafiał się prawie nietknięty odcinek nawierzchni. W pewnym miejscu droga przecinała lasek. Rozłożyste drzewo rosło pośrodku betonu. Miało co najmniej sto lat.

Białka zupełnie się drogą nie interesowała, tylko czujnie popatrywała na boki.

— Czego się boisz? — zapytał Andrew. — Zwierząt?

— Ja się niczego nie boję — odparła dziewczyna — ale szukają nas. Cały step wie, że cię ukradłam.

— Powiedz mi, czy ty nigdy nie widziałaś domów? Nie takich jak twój dom, tylko zrobionych z kamienia?

— A po co dom z kamienia? — zdziwiła się Białka. — Jak go złożysz, kiedy chcesz przenieść się z obozem w inne miejsce?

— Może starzy ludzie nie koczowali. My przecież nie koczujemy.

— Wy nie koczujecie? A zimą, kiedy zwierzęta odchodzą na południe do ciepłych miejsc? Kiedy jest śnieg? Co będziecie jeść? Trzeba koczować.

— To znaczy, że nie widziałaś?

— Jedźmy szybciej — powiedziała Białka. — Nie podoba mi się.

— Co ci się nie podoba?

— Nie podoba mi się i już! — Białka ruszyła i Andrew chciał pójść w jej ślady, ale w tym momencie zauważył na drodze, w szerokiej szczelinie, coś błyszczącego.

— Poczekaj! — krzyknął. — Sekundę!

Zeskoczył z konia i pobiegł do tyłu.

Tak jest: wyciągnął ze szczeliny kilka metalowych kulek wielkości ziaren grochu. Ich powierzchnia była zupełnie gładka, nietknięta korozją. Żaden, najzdolniejszy nawet kowal nie potrafiłby odkuć lub odlać takich kulek.

Teraz już nie miał najmniejszej wątpliwości, że na tej planecie żyli dawniej inni ludzie. Świątynia wiedźm stawała się przez to jeszcze bardziej interesująca. Może związana jest z pamięcią o przybyszach z innej planety?

Białki nie było widać — skryła ją wysoka trawa sięgająca ponad głowę. Koń, nie czekając na Andrewa, poszedł za dziewczyną i Andrew musiał za nim pobiec, zastanawiając się w biegu, co ma zrobić z metalowymi kulkami, bo przecież okrywająca go skóra nie miała kieszeni.

Koń pozwolił mu zbliżyć się na parę metrów, ale zaraz się rozmyślił i potruchtał dalej. Wepchnąwszy kulki za policzek, niewyraźnie bełkocząc, Andrew popędził za nim.

— Hej! — krzyknął, ale jego głos natychmiast utonął w trawie.

Wydawało mu się, że z przodu rozległ się krzyk.

Trawa stała nieruchoma i gęsta, brzęczały muchy, koło nóg prześlizgnęła się jaszczurka o gigantycznej głowie. Pod nogami była twarda ziemia... Andrew zrozumiał nagle, że jeśli nie odnajdzie Białki, to na zawsze już zostanie w tym trawiastym lesie i przestraszył się.

Przestraszywszy się stanął i postarał trzeźwo zastanowić nad swoją sytuacją.

Policzył do stu, nadstawił ucha i, niczego nie usłyszawszy, ruszył ostrożnie do przodu. Spróbował wyobrazić sobie kierunek, w którym podążali. Słońce powinno być o jakieś trzydzieści stopni w lewo od ich azymutu. Tam są wzgórza. Trzeba tam iść, tam czekają bracia Białki. Droga powinna być w pobliżu. Droga jest bardzo ważna.

Zarżał koń. Jego koń? Bardzo blisko.

Stukają kopyta. Głucho, coraz bliżej.

Andrew odwrócił się i zobaczył wolno zbliżającego się w jego stronę jeźdźca. Czarna skórzana kurtka, krótka futrzana spódniczka, włosy ostrzyżone w poprzeczny grzebień, taki sam, jaki sprokurowano na głowie Andrewa, naszyjnik z żółtych zębów i krótka włócznia w ręku.

Kim jest? Wojownikiem Oktina Hasza czy krewnym Białki?

Andrew zdławił w sobie pragnienie, aby dać nura w trawę i ukryć się w niej. Rozumiał, że z końskiego grzbietu będzie i tak widoczny. Dlatego stał z dłonią na rękojeści noża.

— Freee! — powiedział wojownik tonem tak radosnym, jakby spotkał dawno nie widzianego przyjaciela, i uniósł włócznię.

A więc to nie jest brat Białki. Przyjaciel nie groziłby bronią.

Andrew stał nieruchomo. Sprężył się i czekał. Wiedział, że musi się zachowywać nie tak, jak się tego wojownik spodziewał.

Wojownik znowu krzyknął. Grot włóczni zatrzymał się o pół metra od głowy Andrewa.

— Y! — zawołał i chciał pchnąć włócznią Andrewa.

Miał przed sobą niewolnika. Zbiegłego niewolnika, zalękłego i dlatego godnego najwyższej pogardy. Postanowił go zakłuć.

Dzielny koczownik paskudnie się pomylił: niewolnik wcale nie był zalękniony.

Andrew liczył na to, że dzikus nie wypuści włóczni z ręki. Dlatego chwycił ją tuż za ostrzem i z półsekundowym odstępem szarpnął za nią dwa razy. Pierwszy raz dość lekko, aby wojownik silniej uchwycił drzewce w obawie, że broń zostanie mu wyrwana. Drugi raz szarpnął naprawdę. Udało się. Mały i lekki wojownik, siedzący oklep na ko-

niu, opisał w powietrzu szeroki łuk i Andrew musiał odskoczyć, żeby tubylec nie spadł mu na głowę.

Padając, wojownik wypuścił włócznię i ciężko zwalił się na ziemię, ale natychmiast zerwał się na równe nogi i skoczył na Andrewa.

Ale teraz nie miał nad nim przewagi.

Andrew walnął go w szczękę.

Wojownik posłusznie rozciągnął się u jego nóg. Nokaut był głęboki.

Andrew zdjął z niego szeroki pas z kieszonkami — marzenie każdego wędrowca — założył go, wypluł na dłoń kulki i schował je do kieszonki w pasie. Podniósł z ziemi włócznię.

Wszystko to zajęło najwyżej minutę.

Koń wojownika stał o dwa kroki i nie próbował uciekać. Andrew wskoczył mu na grzbiet. Kiedy wyprostował się, jego oczy znalazły się o metr ponad trawą.

Białka była całkiem blisko, o jakieś dwieście metrów od niego. Inna rzecz, iż Andrew nie od razu się zorientował, że to ona, gdyż Białka leżała w poprzek końskiego grzbietu, zwisając głową w dół.

A wojownik, który ją wziął do niewoli czy zabił, wolno jechał w stronę Andrewa i rozglądał się dokoła. Szukał kolegi.

Zobaczył Andrewa. Ponieważ jednak patrzył pod słońce, to nie od razu zorientował się, że zamiast przyjaciela widzi wroga. Radośnie krzyknął i smagnął konia, żeby jak najszybciej spotkać się z, jak mu się wydawało, przyjacielem.

Andrew pogalopował mu naprzeciw. Nowy koń był większy i silniejszy od starego. Zdobyczną włócznię trzymał w uniesionej ręce.

Wojownik odkrył wreszcie swoją pomyłkę i na moment stracił głowę. Nie mógł uciec, bo musiałby zrzucić Białkę z konia. Dlatego postanowił walczyć, ale podjął tę decyzję za późno. Andrew zbliżał się do niego galopem, groźnie pokrzykując i gwiżdżąc. Coraz lepiej odgrywał rolę błędnego rycerza.

Uchylił się od wymierzonej w pierś włóczni i płazem swojej broni trzasnął wojownika w głowę. Koczownik wrzasnął i zwalił się w trawę. Jego koń przebiegł kilka kroków, zatrzymał się i zaczął szczypać trawę.

— Andrew! — krzyknęła Białka.

Dopędził konia i rozciął nożem sznury. Dziewczyna ześlizgnęła się na ziemię. Stała opierając się o bok konia.

— Jesteś prawdziwym wojownikiem — powiedziała z uznaniem.

Rozległ się szelest trawy: powalony wojownik uciekał.

Oczy Białki zapłonęły żółtym, kocim blaskiem. Dziewczyna wskoczyła na konia, wyrwała Andrewowi włócznię z ręki i runęła w pogoń.

— Białka, stój! — krzyknął za nią Andrew. — Niech ucieka. Po co ci on?

Smukła ręka Białki poderwała się do góry. Błysnął grot włóczni i zaraz potem rozległ się krótki, zwierzęcy wrzask.

Białka wróciła. Na końcu włóczni kołysał się kościany hełm wojownika.

— Weź — powiedziała. — To dobry hełm.

Andrew wziął hełm. Białka pochyliła się, zerwała pęk trawy i wytarła nim skrwawiony grot włóczni.

— A gdzie jest ten drugi? — zapytała.

— Tam leży — odparł Andrew, nie wdając się w szczegóły.

— Jesteś prawdziwym wojownikiem. Jestem dumna, że mam takiego mężczyznę — powiedziała dziewczyna. Z głębokiej rany na biodrze sączyła się jej krew.

— Jesteś ranna? — zapytał głupio Andrew.

— Nie bardzo boli — powiedziała Białka. — Jedziemy. Mamy mało czasu.

* * *

Po godzinie, kiedy Andrew nie miał już siły jechać, dotarli do rzadkich zarośli krzewów, których cienkie, długie liście prawie nie dawały cienia.

— Tutaj — powiedziała Białka, skręcając w gąszcz.

Andrew ruszył za nią, ale odskoczył — na gałęziach siedziały ogromne skorpiony.

Białka, nie odwracając się, zrozumiała, co go przestraszyło.

— Nie bój się — powiedziała — nie gryzą, one tylko wiosną gryzą.

Jakiś skorpion obsunął się po gałęzi i spadł mu na gołe kolano. Andrew strącił go panicznym ruchem. Wydało mu się, że te obrzydlistwa zaraz zaczną mu się sypać na plecy.

Miał do przejechania jeszcze około dwudziestu metrów i podczas tej drogi omal nie umarł ze strachu. Nawet pić mu się odechciało.

Między krzakami była polana, a pośrodku niej doskonale kolisty kamienny krąg o średnicy około metra.

Białka lekko zeskoczyła z konia, odczepiła od pasa pustą tykwę i zaczęła ją spuszczać na sznurze w głąb studni. Rozległ się plusk.

Andrew też zszedł z konia. W studni czerniła się woda.

— Dobra woda — powiedziała Białka, wyciągając tykwę.

Andrew spróbował przełknąć ślinę, ale śliny nie było. Żeby tylko wytrzymać, aż dziewczyna się napije, tylko nie pokazać, że gotów jest wyrwać jej tę tykwę z rąk.

Białka odeszła na bok, gdzie leżał duży płaski kamień z zagłębieniem w środku i wylała tam wodę.

— Co robisz? — zapytał ochryple Andrew.

Ale odpowiedź nie była potrzebna: oba wierzchowce sięgały już pyskami po wodę.

Minęła wieczność, zanim konie się napiły. Dopiero potem Białka podała tykwę

Andrewowi.

Pokręcił głową.

— Pij — powiedział.

— Jesteś mężczyzną.

— Pij!

— Nie gniewaj się — powiedziała Białka, uważnie mu się przypatrując. — Jesteś dziwny. Naruszasz prawo. Poi się zawsze po kolei. Najpierw konie, bo one same nie mogą zdobyć wody. Potem mężczyźni, bo oni nie umieją czekać. A potem kobiety.

Andrew jednak odwrócił się i Białka pociągnęła łyk wody z tykwy. Kropelki potu wystąpiły na jej smagłym czole.

— Jestem twoja kobieta, tak? Jesteś dla mnie dobry.

— Taki u nas obyczaj — odpowiedział.

Potem patrzyła, jak Andrew pije, i uśmiechała się.

On zaś marzył o tym, żeby wyciągnąć się na ziemi, ale pamiętał o skorpionach. Może o tej porze roku naprawdę nie gryzą, ale jaki skorpion zachowa powściągliwość, kiedy się na niego położyć?

Andrew przysiadł koło studni. Postukał kostkami palców w cembrowinę. Ceramika. Jak to zostało zrobione? Kto to zrobił?

— Odpocząłeś? — zapytała Białka. — Jedziemy dalej?

Myśl o tym, że trzeba znowu wdrapywać się na konia, była przerażająca. Jakie to szczęście, pomyślał Andrew, że tutaj roi się od skorpionów. W przeciwnym razie za nic nie ruszyłbym się z miejsca...

— Jedziemy — zdecydował.

— Już niewiele zostało — powiedziała Białka. — Wiesz, bardzo się zmęczyłam. Po prostu okropnie. Aż się dziwię, że jesteś taki silny.

Andrew poczuł się mile połechtany.

Białka ruszyła przodem, nie wypuszczając włóczni z rąk.

* * *

Wzgórza były już blisko. Step zaczął się obniżać. Kopyta koni miękko zapadały się w ziemię, trawa zrobiła się niższa, ale gęściejsza, usiana kępami bujnych krzewów, które po paruset metrach ustąpiły miejsca zaroślom gigantycznych paproci. Paprocie tworzyły prawdziwy las, ich liście łączyły się wysoko ponad głowami jeźdźców. Zrobiło się gorąco i duszno, znowu zachciało się pić. Pić i spać. Andrew przestał się czemukolwiek dziwić, tylko trzymał się kurczowo grzywy konia i usiłował nie zasnąć.

Pod końskimi kopytami zapadał się i rwał na strzępy mech. Przed nimi, zwalniając drogę, odpełzały pospiesznie czarne salamandry, przypominające metrowe pijawki. Cuchnęło stęchlizną, padliną, zgniłą, stojącą wodą.

— Zaraz znowu będzie droga — powiedziała Białka. Najpierw jednak było bagno tak głębokie, że koń zaparł się i nie chciał iść dalej. Białka odważnie zeskoczyła do wody, chwyciła wierzchowca przy pysku i poprowadziła za sobą. Andrew poszedł za jej przykładem. Woda była ciepła, czarna, paskudnie śmierdząca. Coś dotknęło gołych nóg. Wokoło, jak tylko okiem sięgnąć, przez pnie gigantycznych paproci przeświywała taka sama obrzydliwie czarna woda. W pewnej chwili Andrew po raz pierwszy w życiu zobaczył diplodoka. Gad drzemał w bagnie, wyciągnięty na całą długość niczym nieruchomy pień drzewa, i z początku Andrew nawet nie zorientował się, że to zwierzę. Kiedy to pojął, aż zatrzymał się zdumiony niezwykłą rozrzutnością natury.

Na widok ludzi dinozaur leniwie uniósł malutką, zgrabną główkę i popatrzył z wyrzutem na robaczki, które odważyły się zakłócić jego poobiednią drzemkę.

Białka odwróciła się i powiedziała:

— Nie bój się, on je tylko trawę. Jest mądry.

— Polujecie na nie?

— Nasi tutaj nie chodzą — odparła dziewczyna. — To niedobre miejsce. Można utonąć, jeśli nie zna się drogi. Są też węże, które zabijają.

Andrew wciąż się oglądał, dopóki diplodok nie zniknął mu z oczu.

— Dużo ich tu jest? — zapytał.

— Całkiem mało.

Bagno stawało się coraz głębsze. Andrew zaczął się bać, że Białka wpadnie do jakiejś jamy.

— Hę! — wykrzyknęła dziewczyna. — Już jest droga. Bałam się, że nie trafię.

Andrew wymacał nogą twardy grunt. Ożywiły się konie, które najwidoczniej uwierzyły, że podróż przez bagno wkrótce się skończy.

Dno wznosiło się łagodnie, tak że po jakichś dwustu metrach Białka wydostała się na suchy grunt. Kiedy Andrew też tam dotarł, zobaczył, że Białka stoi na szerokiej, betonowej drodze, zupełnie takiej samej, jak szosa na stepie.

— Po co starym ludziom była droga prowadząca do bagna? — zapytał Andrew.

— Czy można znać pragnienia starych ludzi? — zdziwiła się Białka, zgarniając ze swojego konia kosmyki wodorostów. Potem zawołała Andrewa i pokazała mu czarną pijawkę zwisającą z podbrzusza zwierzęcia. Chwyciła ją palcami i zręcznie oderwała.

— Popatrz — powiedziała — na twoim koniu też są.

Andrew obejrzał swojego wierzchowca, który stał nieruchomo, jakby rozumiejąc, że człowiek chce mu pomóc. Andrew zdjął z jego skóry co najmniej tuzin pijawek.

Białka podeszła do niego i spytała:

— Wszystkie zebrałeś?

— Chyba tak.

— A właśnie, że nie! — roześmiała się wesoło, pochyliła się i oderwała czarnego ro-

baka z nogi Andrewa.

— Jeżeli zaśniesz w, mokrym lesie — powiedziała, — to się już nie obudzisz. One wszystką krew wypiją. Śmieszne, prawda?

Zerwała kilka wielkich, soczystych liści, przyłożyła je do rany na biodrze, podała Andrewowi kilka cienkich lian i rozkazała:

— Przywiąż.

Andrew ostrożnie, starając się nie sprawiać jej bólu, założył opatrunek.

— Ręce masz jak dziecko — uśmiechnęła się Białka. — Całkiem miękkie. — Przesunęła dłonią po policzku Andrews. Dłoń miała szorstką i twardą.

Droga wolno wznosiła się ku górze. Zarośla paproci ustąpiły miejsca dziwnemu lasowi, składającemu się głównie z nie znanych Andrewowi drzew. Nic dziwnego, że ich nie znał — odpowiedniki ziemskich prehistorycznych gadów rozpoznawał bez trudu, bo niejednokrotnie widział ich rekonstrukcje. Roślin zazwyczaj nie rekonstruowano — były nie dość efektowne.

Droga biegła leśnym tunelem. Wciąż było bardzo duszno. Przed nimi była pustka, ciemna niczym czarna kurtyna.

Białka śmiało wjechała w tę pustkę.

* * *

Droga prowadziła do wąwozu wyrąbanego w stromym urwisku, sięgającym setki metrów w górę. Wąwóz miał najwyżej sześć metrów szerokości i dlatego jego pionowe ściany zdawały się zbiegać nad głowami, tak, że majaczyło tam tylko wąziutkie pasemko światła.

Płaskie dno jaru pokrywała warstwa drobnych otoczaków, jakie widuje się w korytach górskich strumieni.

Tytaniczne cięcie... Daleko w przodzie drżał pionowy słup światła. A więc wąwóz był idealnie prosty, bo nawet najmniejsza niedokładność, bez której natura nie może się obyć, nie pozwoliłaby dojrzeć jego przeciwległego końca.

Andrew wyciągnął rękę i dotknął palcami gładkiej, mokrej ściany. Palce ślizgały się po bazalcie tak, jakby skała została przez kogoś wypolerowana. Dopiero po jakichś pięciu metrach napotkały nierówność — w tym miejscu z góry spływała wąska struga wody. Andrew zatrzymał konia, podstawił dłonie pod wodospad i napił się.

— Skąd się wziął ten wąwóz? — zapytał. Głos jego głucho zadudnił między ścianami.

— Starzy ludzie go zrobili — odparła Białka.

Należało się tego spodziewać. A więc i ona uważa, że wąwóz został zrobiony. Tylko w jaki sposób coś takiego można w ogóle zrobić?!

Z góry spadła zimna kropla, potem jeszcze jedna. Andrew uniósł głowę. Niebo

w szczelinie pociemniało — zaczęło padać, krople sypały się coraz gęściej.

— Pada deszcz — stwierdziła Białka.

— Widzę — powiedział Andrew.

Wąwóz powtarzał ich słowa.

— Jeśli tam na górze mocno pada — krzyknęła Białka — to woda pójdzie tędy!

Andrew zrozumiał, że wąwóz był kanałem odwadniającym leżącą powyżej dolinę.

Dalej pędzili w milczeniu. Jeśli można powiedzieć — pędzili. Konie były tak zmęczone, że mimo poganiania ledwie przestawiały nogi.

Deszcz się wzmagał i zimne krople coraz silniej siekły po ramionach. Pod nogami pokazał się wątły strumyczek.

Koń Białki zatrzymał się tak gwałtownie, że Andrew ledwie uniknął zderzenia się z nim.

Dopiero wtedy zauważył, że drogę zagradza im na poły ogryzione cielsko jakiegoś wielkiego zwierzęcia, z którego zerwała się chmara pterodaktyli.

Trzeba było zejść z koni i przyciskając się do ściany przeciągnąć opierające się konie przez tę przeszkodę. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, woda sięgała już po kolana, piętrząc się na stercie padliny. A biała szczelina była wciąż jeszcze daleko.

Ostatnie metry drogi przez wąwóz były prawdziwą męczarnią, bo przerażone konie zapierały się i usiłowały uciec w dół.

— Rzucaj konia! — zawołała Białka, przekrzykując ryk wody.

Andrew zrozumiał, że dziewczyna ma rację, ale żal mu było konia. Przywiązał się do niego, a jeśli go puścić, to głupi zwierzak popędzi do tyłu i zginie.

Białka puściła swojego wierzchowca, który natychmiast skrył się w ciemnościach wąwozu. Andrew wciąż jeszcze uparcie ciągnął swojego, ale w pewnym momencie lekka Białka została przez wodę zbita z nóg i porwana do tyłu. Andrew rzucił się ku niej zapominając o koniu, chwycił ją, przytrzymał i ruszył do przodu. Szedł bardzo wolno, bo wciąż przybierająca woda stanowiła przeszkodę prawie nie do pokonania.

Ostatkiem sił wczepił się w krawędź urwiska, drugą ręką wyrzucając Białkę do góry...

* * *

Stali przyciśnięci plecami do kamiennego urwiska. Pod nogami kipiała woda, usiłująca znaleźć ujście do wąwozu.

Padał deszcz, obfity, lecz spokojny.

Tam, w ciemności, toną konie, pomyślał Andrew. Zrobiło mu się wstyd, że nie zdołał zwierzętom pomóc.

— Szkoda koni — powiedziała Białka. — W naszej hordzie zostało całkiem mało koni.

Szli wzdłuż urwistej skały. Ledwie trzymali się na nogach.

— Może odpoczniemy? — zaproponował Andrew.

— Niedługo — odparła dziewczyna. — Całkiem niedługo.

Zataczała się. Andrew objął ją ramieniem.

Krople deszczu zalewały oczy i trzeba było wolną ręką nieustannie je wycierać. Dokoła był las, zwyczajny las liściasty. Drzewa były ledwie widoczne za zasłoną lejącej się z nieba wody. Między wielkimi kamieniami, u podnóża skał, rosła miękka trawa.

Andrew starał się liczyć kroki, ale stale się mylił, i nagle usłyszał:

— Już. Doszliśmy.

Białka zrzuciła z ramienia jego rękę i rozsunęła drzewcem włóczni krzewy.

Za krzewami było ciemno.

— Tam jest sucho — powiedziała. — Braci jeszcze nie ma.

— Mieli tu na nas czekać?

— Tak. Spóźnili się albo zabili ich — powiedziała Białka. — Teraz nie przejdą wąwozem.

Szkoda koni, pomyślał Andrew.

— Iiiep! — krzyknęła Białka w ciemność. Zrobiła krok do przodu, stanęła, nadstawiła ucha. Podniosła z ziemi niewielki kamień, rzuciła nim do środka jaskini. Odczekała moment i rzuciła w tę samą stronę włócznią.

Nic się nie stało.

— Nikogo nie ma — powiedziała. — Czasami tutaj przychodzi zwierz. Nie wiem, jak się po waszemu nazywa. My go nazywamy grich.

Odczekała jeszcze moment i pierwsza weszła do jaskini. Coś zaszeleściło.

— Tu jest sucha trawa — usłyszał Andrew. — Można się położyć. Chodź tutaj. Ja umrę, jeśli się zaraz nie położę.

— Ja też — wyznał Andrew.

Mężczyźni nie potrafią wytrzymywać. Ale ty jesteś lepszy od innych.

Pod ścianą leżała kupka siana. Niezbyt wielka, ale w każdym razie leżeć na niej będzie wygodniej niż na gołym kamieniu.

Wyciągnął się, ale zdrętwiałe ciało nie chciało się rozluźnić. Nogi piekły i bolały. Andrew pomyślał, że nie zdoła zasnąć.

Widział szary krążek wejścia do jaskini i słuchał szumu deszczu w liściach drzew.

Białka umościła się obok niego, jej lekka, twarda dłoń opadła mu na pierś. Potem Białka obróciła się i położyła mu głowę na ramieniu. Głowa była mokra, ciepła i kłująca.

— Ieeh — powiedziała sennie. — Całe jedzenie zostało przy koniach. I zaraz potem zaczęła oddychać wolno i lekko — zasnęła.

Andrewowi było niewygodnie, chciał się obrócić, ale bał się obudzić dziewczynę,

która poruszyła się we śnie, coś zamruczała i jeszcze mocniej się do niego przytuliła. A jemu wydawało się, że nigdy nie zaśnie... nigdy nie zaśnie... I zasnął.

Dwa czy trzy razy budził się z zimna, ciaśniej przytulał do gorącej Białki, ale przez to plecy ziębiły jeszcze bardziej, a cienka warstwa siana nie stanowiła wystarczającej izolacji od lodowatego kamienia. Jednakże zmęczenie brało w końcu górę nad zimnem i Andrew znowu zapadał w sen. Wydawało mu się że, rozebrany do naga, pędzi przez bezdenną pustkę kosmosu, mając przed sobą tylko dalekie, zimne gwiazdki, do których nigdy nie zdoła dotrzeć... Potem wrócił na planetę Pe-U, a obok niego była Petri U, chociaż doskonale wiedział, że ukochana od dawna nie żyje i pewnie dlatego nie mogła go uratować przed wiecznym chłodem...

* * *

Chociaż Andrew zazwyczaj budził się całkiem świadomy tego, gdzie się znajduje, to tym razem jego mózg był tak otumaniony przejściami poprzedniego dnia, że przez kilka sekund był święcie przekonany, że jest na Ziemi — może dlatego, że po otwarciu oczu zobaczył zielone liście i przebijające się przez nie na ukos słoneczne promienie.

Był wczesny ranek i słońce wschodzące naprzeciw wejścia do jaskini zajrzało do niej i, jeszcze nie grzejąc, uśmiechało się obietnicą ciepła.

Andrew wyciągnął rękę — Białki obok nie było. Uniósł się na łokciu — dziewczyna siedziała opodal z kolanami podciągniętymi do piersi i patrzyła na niego. Była naga. Nie rozumiał dlaczego, ale gdy sam wstał, to przekonał się, że przykryła go swoją kurtką i futrzaną spódniczką.

— Co za głupie pomysły! — wykrzyknął. — Dlaczego to zrobiłaś? Przeziębisz się!

— Mnie nie jest zimno — odparła Białka. — Kobiety są wytrzymalsze.

— Ubieraj się — Andrew podał jej przyodziewek.

Białka włożyła spódniczkę. Zupełnie nie wstydziła się swej nagości i dlatego nagości nie było... Nikt przecież nie mówi o nagości łani!

— Ile masz lat? — zapytał Andrew.

— Nie wiem. Wy, ludzie z podniebnej hordy, zawsze chcecie wiedzieć ile minut, ile godzin. Po co?

— Trudno wytłumaczyć. Przywykliśmy.

— Tam, w głębi — powiedziała Białka — jest woda. Ale idź ostrożnie. Nisko.

— Bracia nie przyszli?

— Po co pytasz? Gdyby przyszli, zobaczyłbyś ich.

Andrew wstał, wyjrzał na zewnątrz. O parę kroków zaczynał się rzadki las liściasty. Wiewiórka przemknęła po pniu lipy, zerknęła na niego i uciekła. Odezwała się kukułka, jakby specjalnie przywieziona z odległości nie zliczonych parseków, żeby dodać Andrewowi otuchy.

Andrew wrócił do jaskini i poszedł w jej głąb. Strop obniżał się, światło już tam nie dochodziło. Andrew poruszał się wolno, dotykając ścian i często podnosząc rękę, żeby nie nabić sobie przypadkiem guza na głowie. Z każdym krokiem cisza stawała się głębsza i cięższa. Znikły odgłosy lasu, ustępując dźwiękowi płynącej wody. Źródełko tryskało spod kamieni.

Andrew umył się, doprowadził trochę do porządku. Woda była tak zimna, że drętwiały od niej zęby, kiedy przepłukiwał usta. Przesunął ręką po głowie i gwałtownie cofnął dłoń — zapomniał, że został ostrzyżony zgodnie z miejscową modą. Ciekawe, co by powiedziano, gdyby się pojawił z taką fryzurą w Zarządzie Floty Kosmicznej? Zresztą w kosmosie panują tak różne mody i obyczaje, że pewnie nikt by się szczególnie nie zdziwił...

Kiedy Andrew wrócił do przedniej części jaskini, Białki tam nie było.

Wyszedł na zewnątrz. Okropnie bolały go nogi i strzykało w krzyżu.

Już rozgrzany, wesoły las ogłuszał harmidrem i krzątaniną. Andrew uniósł twarz do słońca, podstawiając policzki i czoło pod jego ciepłe promienie. Przeciągnął się błogo i w tym momencie zrozumiał, że jest piekielnie głodny.

Chciał zawołać Białkę, ale zreflektował się — był tu obcy i nie wiedział, gdzie można krzyczeć, a gdzie siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

Dobrze byłoby się przejrzeć w lusterku — przepaska biodrowa ściągnięta szerokim pasem zdartym z pokonanego wroga, noże za pasem i nic więcej. Do kompletu brakuje tylko zgubionego w wąwozie kościanego hełmu, trofeum Białki. Kapitan Andrew Bruce w pełnej krasie!

Z krzewów wyszła Białka.

I nagle Andrew ujrzał ją taką, jakiej nigdy dotąd nie widział.

Słońce świeciło jej w plecy, tworząc aureolę wokół śmiesznego jeżyka na głowie i rysując złotem kontur szczupłej i kształtnej dziewczęcej postaci. Była wróżką tego wesołego, słonecznego lasu.

Wróżka niosła w dłoniach garść dzikich gruszek i jabłek.

— Nic więcej nie znalazłam — powiedziała. — Ale to lepsze niż nic, można napchać brzuch, prawda? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie ucieknę. Jestem twoją kobietą. — I roześmiała się wesoło.

Usiedli na kamieniach przed wejściem do jaskini. Jabłka okazały się bardzo kwaśne, ale gruszki przypadły Andrewowi do smaku. Były twarde i cierpkie, ale zarazem słodkie i orzeźwiające.

— Dobrze, że uciekliśmy latem — powiedziała Białka. — Wiosną trudno znaleźć coś do jedzenia, a zimą jest całkiem okropnie.

Zdjęła kurtkę, rozścieliła na kamieniach i położyła się, grzejąc się błogo na słońcu. Andrew patrzył na nią z prawdziwą przyjemnością.

— Dlaczego tu przyszliśmy? — zapytał.

— A gdzie cię można schować? — zdziwiła się Białka. Kiedy dziwiła się niedomyślności Andrewa, jej brwi wędrowały do góry, a twarz przybierała cierpiętniczy wyraz.

— Może w twojej hordzie?

— Oktin Hasz zaraz posłał ludzi do mojej hordy — wyjaśniła.

— Myślałem, że twoja horda się ukryła.

— Na stepie się nie schowasz. Ludzie Oktina Hasza wiedzą, gdzie szukać. Jeśli ciebie i mnie nie ma, to odejdą, a jeśli tam jesteś, to wszystkich zabiją. To przecież jasne.

— A dlaczego was nie ruszą, jeśli mnie tam nie ma?

— Ruszą. — Białka mówiła spokojnie, jak o rzeczy oczywistej. — Będą bili, bo z początku nie uwierzą. Ale potem uwierzą i odejdą. Po co zabijać bez potrzeby? Lepiej wziąć daninę. Horda Żelaznego Ptaka została zwyciężona, nikt nas nie obroni. Oktin Hasz wie. Teraz będziemy mu dawać futra i niewolników. Nie mamy już wojowników... Dlaczego moi bracia nie przyszli?

— Znają drogę?

— Pewnie. Tylko nasza horda zna tę jaskinię.

Wielka ważka z przezroczystymi, pomarańczowymi skrzydłami usiadła na malutkiej piersi Białki. Załaskotało. Dziewczyna strąciła owada, który leniwie przeleciał na Andrewa.

— Zaniosła ci pozdrowienie od mojego serca — powiedziała Białka. — Dobre pozdrowienia?

— Dobre. Dziękuję.

— Boję się — powiedziała Białka. — Tu całkiem blisko jest świątynia wiedźm.

— Gdzie?

— Tam — Białka machnęła ręką w stronę lasu.

— Daleko?

— Nie bardzo. Jeśli przyjdą bracia, to przyniosą mięso. Tu nie wolno polować.

— Dlaczego?

— Nie wolno i już! — odpowiedziała Białka ze złością w głosie. — Jeśli moich braci zabili, to pójdę polować za wąwozem, na bagnie.

— A Oktin Hasz idzie ze swoimi ludźmi tą samą drogą?

— Jak może przejść przez bagno ze wszystkimi wozami?! — Białka z trudem znosiła idiotyczne pytania Andrewa. — Idzie dobrą drogą. Nie chowa się. Jest główny na stepie.

— Główniejszy niż wiedźmy?

— Wiedźmy są tutaj, a on tam. — Białka wstała i przeciągnęła się. — On im daje wielkie podarki.

— A one?

— One też dają podarki. Przypomniałam sobie. Tu są leszczyny. Chodźmy, może orzechy już dojrzały.

— Chodźmy — zgodził się Andrew, który nie mógł już znieść bezczynności. — A kiedy Oktin Hasz przyjdzie?

— Pewnie dzisiaj. Ale będzie skakał ze złości, kiedy się dowie, że cię nie ma! Myśli, że wiedźmy już cię przygotowały, a ciebie nie ma!

— Myślisz, że do tej pory nie wie?

— Wie — westchnęła Białka. — Pewnie, że wie. Ale weselej jest myśleć, że jeszcze nie wie i będzie się złościł...

Białka zachmurzyła się. Zerwała się na równe nogi, chwyciła włócznię, sprawdziła czy nóż lekko wysuwa się z pochwy i czujnym, sprężystym krokiem ruszyła między drzewa, stając się natychmiast cząstką lasu.

W istocie to wszystko stało się przeze mnie, myślał Andrew. Przez nas. Ratując mnie, ta dziewczyna sprowadziła niebezpieczeństwo zagłady na całą swoją hordę. To łatwo wytłumaczyć z punktu widzenia naszej logiki i moralności. Zgodnie z tą logiką Jean i ja jesteśmy swoi, jesteśmy przyjaciółmi, których trzeba ratować, szlachetnie ryzykując własnym życiem. Jednakże Białka nie upiera się przy tej wersji. Mówi, że jestem jej mężczyzną. Co za tym stoi? Szalona miłość od pierwszego wejrzenia? Wątpliwe. Jakiś obrzęd magiczny? Wybrano mnie na narzeczonego córki wodza nie pytając o zgodę? A może nagły poryw, nieoczekiwana decyzja dzikusów, których umysły funkcjonują wedle odmiennych praw? Rozumiejąc, że nie wolno przykładać do postępków Białki żadnej ziemskiej miary, Andrew mimo wszystko starał się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie sytuacji.

Gdyby to wszystko zdarzyło się w innych okolicznościach, można by było uznać tę sytuację za śmieszną, i naturalnie Andrew postarałby się delikatnie wytłumaczyć prehistorycznej pannicy, że nie pali się do roli jej mężczyzny galopującego po stepie w pogoni za mastodontami lub walczącego z podstępnymi wrogami z obcej hordy. Ale co ma robić teraz, kiedy wyzwolono go z niewoli i uratowano być może od śmierci? Jeśli już drugą dobę ukrywa się na stepie i w lesie, walcząc z wojownikami Oktina Hasza? I jeśli wreszcie przywykł, przywiązał się do tej istoty — absolutnie niezrozumiałej i mimo tego najbliższej mu na tej planecie? A może i w całej Galaktyce...

Zarośla leszczyny zaczynały się niedaleko wejścia do jaskini. Krzewy zaszeleściły — wielkie, ciemne zwierzę spieszyło ustąpić miejsca ludziom.

— Co to? — zapytał z obawą Andrew.

— To... zapomniałam słowo... kosmaty, lubi orzechy, a zimą śpi.

— Niedźwiedź?

— Niedźwiedź. On jest syty, nie bój się.

Białka szybko rwała orzechy i natychmiast je rozgryzała.

— Jesteś jak dziadek do orzechów — powiedział Andrew.

— Nie znam takiego.

Taki malutki czarodziej, który potrafi szybko łupać orzechy.

— Nie nazywaj mnie czarodziejem — powiedziała surowo Białka. — Tak nie wolno.

— Rozkaz! — powiedział Andrew.

Orzechy były miękkie i soczyste. Kiedy ostatni raz jadł orzechy laskowe? Tysiąc lat temu? A i to nie prosto z krzewu, tylko zapakowane w przezroczystą torebkę...

Przyciągnął do siebie gałąź leszczyny, nazbierał całą garść orzechów. A gdzie jest Białka? Po drugiej stronie krzewu. I w tym momencie Andrew usłyszał płacz.

Kto mógł płakać? Na pewno nie Białka, bo ona na pewno nawet nie wie, co to są łzy. Był o tym absolutnie przekonany.

Płakała Białka.

Siedziała w kucki, zasłoniwszy dłońmi oczy, i rozpaczliwie szlochała. Jej ramiona spazmatycznie dygotały.

— Co ci jest? — Andrew pochylił się nad nią. — Co się stało?

Białka szarpnęła ramieniem, strącając z niego dłoń Andrewa.

Andrew rozejrzał się dokoła. Las był cichy i spokojny. Co ją tak mogło zdenerwować?

Nie musiał długo szukać. Zobaczył połamane gałęzie, zdeptaną trawę i brunatną plamę na ziemi. Krew.

— Co tu się stało? Powiedz!

Białka podniosła głowę.

— To wszystko ty, ty! — powiedziała wrogo. — Po co do nas przyleciałeś?

— Coś się stało z twoimi braćmi?

— Chcę cię zabić! I mojego ojca razem z jego głupimi babami! — Patrzyła na Andrewa z dołu do góry, przyciskając piąstki do gardła, jakby trudno jej było mówić. — Ach, znajdź tego wodza z nieba! On jest taki silny! Jego przyjaciele przylecą po niego! Dadzą naszej hordzie mnóstwo podarków, jeśli ukradniesz go Oktinowi Haszowi! Komu teraz twoi przyjaciele dadzą różne rzeczy i noże? Moich braci nie ma, nie ma! Odejdź!

Andrew pod naporem tego gniewu cofnął się o parę kroków.

Białka zerwała się z ziemi. Jej ręce poderwały się ku górze i bezwładnie opadły. Nie patrzyła na Andrewa, który nagle zrozumiał, że go oszukano. Prosta rzecz: słaba horda potrzebuje opieki silnej hordy, i nawet jeśli dla zapewnienia sobie tej opieki trzeba poświęcić dziewczynę i ostatnich wojowników, to trudno, mądry dzikus zdecyduje się na taką ofiarę... I to zwierzątko z jeżykiem na czubku głowy też udawało... A zresztą, co chcesz, kapitanie Bruce? Uratowano cię, ryzykowano dla ciebie życiem, a ty się jeszcze obrażasz?

— Dlaczego myślisz, że twoi bracia zginęli? — zapytał Andrew spokojnie, jakby nie słyszał gniewnych słów dziewczyny.

— Patrz — zatoczyła krąg ręką, sądząc, że widoczne dokoła ślady mówią Andrewowi tyle samo, co i jej.

— Nie umiem dobrze czytać śladów — powiedział Andrew. — Powiedz mi, co ty zobaczyłaś.

— Przyszedł jeden brat — powiedziała dziewczyna martwym głosem. — Inni już nie przyszli. Zabili ich na stepie.

— Ale tu ich nie było, prawda?

— Tutaj przyszedł jeden brat. Przyszedł w nocy, kiedy spaliśmy. Ścigali go. Wiedział o tym. Widzisz? — Białka wskazała ręką w stronę polanki między krzewami. Andrew niczego nie zobaczył, ale uwierzył. — Nie chciał prowadzić ich do jaskini. Pobiegł w inną stronę. A oni go dopędzili. I zabili.

— Dlaczego myślisz, że zabili?

— Krew.

— Rozumiem — powiedział Andrew. — Powiedz mi wobec tego...

Mówił spokojnie i z namysłem, starając się patrzeć na nią oczami człowieka zupełnie obcego, zapomnieć o tym jej wizerunku, jaki wytworzył się w jego świadomości w ciągu ubiegłej doby. Niewysoka, sięgająca mu do ramienia, chuda i dość brudna koczowniczka o złych, zmrużonych oczach, brzydka, zmęczona i wynędzniała... Tu sam siebie zbeształ w duchu. Białka jest zmęczona i wynędzniała, ponieważ od wielu godzin praktycznie niesie go na sobie, a to jest ponad jej siły. Fakt, że robi to nie dla jego pięknych oczu, tylko dla dobra swojego plemienia, dla dobra ojca i kobiet z hordy, których jutro może zamordować Oktin Hasz, nie umniejsza jej odwagi i wartości poświęcenia.

— Powiedz mi — powtórzył Andrew — co się dzieje z ciałem, kiedy na stepie kogoś zabijają? Co się dzieje z martwym człowiekiem?

— Jak to? Zabiją i rzucą. Niech leży.

— Powiedz mi w takim razie, gdzie jest twój brat? Gdzie leży? Białka rozejrzała się dokoła, jakby spodziewała się zobaczyć leżące ciało. Zrobiła kilka kroków w prawo, zatrzymała się, skręciła pod kątem prostym, potem ruszyła po śladach. Andrewowi wydało się nawet, że porusza nozdrzami jak pies tropiący ślady. Przeszła około pięćdziesięciu metrów i Andrew niemal stracił ją z oczu za krzewami. Stał bez ruchu. Nadal czuł się obrażony. Jego męska duma doznała niezasłużonego uszczerbku!...

Białka biegła z powrotem.

— Andrew powiedziała triumfalnie. Oni go ciągnęli. Przecież widzisz! — Pokazała ślady. — Ciągnęli go, a on nie chciał iść. Jesteś mądry, a ja głupia.

Podbiegła i chwyciła go za rękę.

Andrew ostrożnie wyzwolił rękę.

— Co teraz zrobimy? Kto schwytał twojego brata?

— Pójdziemy i dowiemy się — odparła Białka. — Gniewasz się na mnie?

— Idziemy — odburknął Andrew.

Wolałby teraz ruszyć do świątyni wiedźm, ponieważ tam był Jean. Najpierw jednak trzeba było oddać dług. Długi zawsze należy płacić.

* * *

Białka czytała ślady.

Andrew szedł za nią, zerkając na boki. W lesie czuł się jak u siebie w domu — uczciwe drzewa liściaste i żadnych mastodontów czy innych pterodaktyli. Białka często się odwracała. W jej oczach była niepewność, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła się zdecydować. A może Andrewowi tylko tak się zdawało?

Ślady wyprowadziły ich na otwartą przestrzeń. Postali kilka minut na skraju lasu, rozglądając się i nasłuchując. Równina łagodnie wznosiła się ku górze, ku dalekim, błękitnawym wzgórzom. Pasąca się w pobliżu antylopa, podobna do okapi, uniosła głowę, popatrzyła na nich, a potem oddaliła się niespiesznym truchtem.

— Nie boi się — powiedziała Białka. — Znaczy, że nikogo nie ma.

Andrew zgodził się z nią.

Dziewczyna pokazała ręką placek wydeptanej trawy.

— Tutaj odpoczywali — powiedziała. — Trzech wojowników. I brat. Tam siedział. A jeden wojownik jest kulawy, widzisz?

— Nie.

— Gdzie ty masz oczy! — warknęła Białka znowu poirytowanym głosem i odwróciła się. Potem powiedziała półgłosem do siebie: Tak nie wolno mówić z obcym!

Andrew usłyszał, ale nie zareagował. To nie był jego problem.

— Dokąd go poprowadzili? — zapytał.

— Do świątyni.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał.

— Jak przejdzie się tę łąkę, to dalej będą skały. Widzisz?

— Widzę.

— A potem świątynia w dole, stąd nie widać.

— To właśnie tam jedzie Oktin Hasz?

— Może już tam jest.

— Zaprowadzili twojego brata do Oktina Hasza?

— Albo do wiedźm.

— Wiedźmy mają swoich wojowników?

— One nie potrzebują. Ich wszyscy się boją i tak.

— Dlaczego nie zabili brata?

— Myślę, że oni szukają nas i myślą, że mój brat szedł do nas. Będą go męczyć. Idziemy?

Ruszyli szybkim krokiem przez porośniętą niską trawą łąkę. Wiał chłodny wiatr. Za szarymi skałami wznosiły się dalekie, ledwie widoczne góry.

Białka wyprzedziła Andrewa idąc szybkim krokiem, czasami biegnąc nawet truchtem. Andrew też czuł się niepewnie na tej otwartej przestrzeni, która mogła znajdować się pod obserwacją. Przecież ich szukano! Inna rzecz, że na razie nic nie wskazywało na obecność pościgu: opodal pasło się spokojnie stadko niewielkich słoni o krótkich trąbach i długich, prostych kłach.

Białka nie wytrzymała i ruszyła biegiem. Andrew pobiegł za nią, kulejąc na obie nogi. W trawie było mnóstwo ostrych kamieni raniących stopy.

Pod skałami, które na podobieństwo rzadkiego lasu wznosiły się na skraju równiny, kamienie pokryte były różnobarwnymi porostami. Przemknęła po nich równie pstrokata żmija.

Białka dobiegła do skały i przylgnęła do niej z rozkrzyżowanymi rękami. Ciężko dyszała. Potem odwróciła się, patrząc na podchodzącego Andrewa.

— Biegnę — powiedziała — a oni patrzą.

— Kto patrzy?

— Nie wiem. Starzy ludzie. Nie ma ich, ale patrzą.

— Też mi się tak wydawało — powiedział Andrew.

— Cicho — szepnęła Białka.

Andrew usłyszał głosy. Kilku ludzi, rozmawiając między sobą, zbliżało się w ich stronę. Z tyłu była otwarta równina, z przodu obcy ludzie. Andrew spojrzał do góry. Skała była zbyt stroma, żeby można było się na nią wdrapać. A sąsiednia?

Chwycił Białkę za rękę i pociągnął ku tej skale, na której o jakieś pięć metrów od ziemi rosło powykręcane, żylaste drzewo. Andrew zaczął wdrapywać się do góry, chwytając się za nierówności kamienia. Na wysokości dwóch metrów była niewielka półeczka. Andrew zatrzymał się, chcąc pomóc Białce, ale dziewczyna już stała obok. Na odległość wyciągniętej ręki wisiał koniec korzenia. Andrew chwycił zań i dotarł do pnia, grubego i węzłastego, odstającego na kilkadziesiąt centymetrów od skały.

Wcisnęli się oboje w tę szczelinę, starając się jak najciszej oddychać. Andrew przytulił Białkę. Jej serce biło głośno i gwałtownie. Uniosła oczy, popatrzyła na niego, jakby o coś pytała. Andrew ściągnął brwi: milcz. Białka wolno zamknęła oczy i położyła mu głowę na piersi. Andrew dopiero teraz zauważył, jakie ma długie rzęsy.

Zza skał wyszło kilku wojowników. Zatrzymali się, patrząc na dolinę. Zdążyliśmy, pomyślał Andrew. Gdyby zjawili się dziesięć minut wcześniej, już byłoby po nas. Zresztą nawet i teraz wystarczy, żeby któryś z nich podniósł głowę...

Ale wojownicy nie patrzyli do góry.

Rozsypali się w tyralierę i ruszyli doliną w kierunku jaskini.

Na serio się za nas wzięli, pomyślał Andrew. Kiedy wojownicy odeszli na jakieś sto metrów, pochylił się ku Białce i szepnął:

— Poczekaj. Mogą przyjść następni.

— Wiem — odszepnęła. — Już idą.

Stali tak dość długo, gdyż zza skał wyszły następne dwie grupy wojowników spieszące za pierwszymi.

— A gdzie są ich konie? — zapytał Andrew.

— Tam konie nie przejdą — odparła Białka.

Andrew zauważył nagle, że w pniu drzewa, o jakiś metr nad głową coś błyszczy. Jakby wielkie szklane oko. To mógł być naciek żywicy albo krystaliczny otoczak, który przypadkowo wrósł w korę, albo...

— Podnieś głowę — szepnął Andrew. — Widziałaś już coś takiego?

— To jest oko — powiedziała Białka. — Widziałam już. To oko starych ludzi. Ojciec mi mówił. W innych miejscach też są.

— Przyjrzę mu się z bliska — powiedział Andrew.

— Nie wolno! — krzyknęła szeptem Białka. Była śmiertelnie przerażona. — Nie!

— Dlaczego?

— Nie wolno. Kto go dotknie od razu umiera. Nie wolno!

— Skąd wiesz?

— To wszyscy wiedzą — powiedziała Białka. — Bardzo cię proszę.

Andrew usłuchał. Jedna zagadka mniej, jedna więcej.

— Nie jesteś zmęczona?

— Przecież mnie trzymasz.

Białka uniosła smukłą rękę i przyłożyła dłoń do jego policzka. Andrew odsunął głowę — wciąż czuł się urażony.

— Ja cię nie oszukiwałam — szepnęła Białka. — Ja nigdy nikogo nie oszukuję. Chciałam, żebyś był moim mężczyzną.

— Daj spokój — odszepnął Andrew.

— A ty mi nie wierzysz...

— Nie słyszysz innych ludzi?

— Nie, wszyscy przeszli.

— Na co więc czekamy? Przecież oni dojdą do jaskini i wrócą.

— Podoba mi się tak stać.

Powiedziawszy to Białka ześlizgnęła się po zwisającym korzeniu drzewa. Zupełnie jak małpka. Po paru sekundach stała już na dole. Andrew schodził o wiele dłużej.

Ruszyli w bok, żeby odejść jak najdalej od ścieżki, którą przybyli wojownicy Oktina Hasza. Weszli na ostry, kamienny piarg, na którym Andrew natychmiast porozbijał so-

bie nogi do krwi. Białka biegła lekko, jakby pod stopami miała miękką trawę.

Znaleźli się na porośniętym kaktusami płaskowyżu. Kaktusy pokryte były ogromnymi, pomarańczowymi kwiatami, które obsiadły wielkie, również pomarańczowe, motyle.

Słońce zaczęło coraz bardziej przypiekać. Białka zwolniła, a potem zatrzymała się i przykucnęła.

Andrew dokuśtykał do niej i zobaczył, że są u celu.

W dole rozciągała się obszerna kotlina, pośrodku której leżało podłużne, błękitne jezioro. Po jego przeciwległej stronie wznosiły się strome góry, które z prawej strony obniżały się, otwierając wejście do doliny. Wzdłuż wpadającego do jeziora strumienia biegła tam szeroka droga. W stronę kotliny jechały nią liczne wozy.

Wydawało się, że przeniosło się tu całe obozowisko Oktina Hasza — na bliższym brzegu jeziora tłoczyły się całe setki wozów, dalej, na zboczu, pasł się tabun koni, w pobliżu którego niewolnicy ustawiali namioty. W trzcinach, na brzegu jeziora, pławił się stegozaur.

— Świątynia wiedźm — powiedziała Białka.

— Gdzie?

— Patrz na jezioro.

Przeciwległy brzeg jeziora był pusty, jeśli nie liczyć stojących tam trzech namiotów. Były podobne do namiotów Oktina Hasza, ale wyższe i ciemniejsze. Wejścia do nich zasłaniały opuszczone płachty.

— A gdzie wiedźmy?

— One śpią — odparła Białka.

Andrew wpatrywał się w krzątaninę nad jeziorem bez większej nadziei. Nawet gdyby Jean tam był, to i tak wypatrzenie go z takiej odległości byłoby niemożliwe.

Brata Białki zobaczyli dlatego, że najpierw rozpoznali Oktina Hasza, a właściwie jego czerwoną koronę. Wódz harcował na koniu koło wielkiej zagrody, zrobionej z wbitych w ziemię wysokich drągów. Trzymano w niej kozy, ale nie tylko, bo przy ogrodzeniu siedział jakiś człowiek. Oktin Hasz chlastnął po ogrodzeniu nahajką. Człowiek wstał.

— To mój brat — powiedziała Białka. — Jak to dobrze, że on żyje.

— A Jeana nigdzie nie widzisz?

— Pewnie jest w namiocie albo go już zaprowadzili do wiedźm.

Białka zamyśliła się, patrząc w dół. Oktin Hasz odjechał od zagrody. Jej brat znowu usiadł na ziemi. Kozy tłoczyły się po przeciwległej stronie zagrody.

— Pójdę tam — powiedziała dziewczyna.

— Przecież cię rozpoznają i złapią.

— Nie jestem głupia — powiedziała Białka. — Tam jest mnóstwo niewolnic. Nikt nie patrzy, bo niewolnice są wspólne. Niewolnice z mojej hordy też. Widzą mnie i milczą.

A ja wszystkiego się dowiaduję i opowiadam tobie. A ty czekaj.

Podała mu tykwę z drewnianą zatyczką. W tykwie była woda.

— Czekaj pod drzewem, bo będzie bardzo gorąco, i tak już masz całą twarz spaloną.

Białka pobiegła w stronę, gdzie wzgórze nie było zbyt strome. Rosły tam krzewy, w których mogła się ukryć podczas schodzenia.

* * *

Andrew rozumiał, że Białka ma słuszność. Nie mógł z nią iść, bo natychmiast by go rozpoznali, ale czekanie jest zajęciem wyjątkowo jałowym i przykrym. Tym bardziej czekanie w słonecznym skwarze.

Położył się na skraju urwiska, przeszukując wzrokiem zbocze, które, zrazu bardzo stronne, potem łagodnie opadało ku równemu brzegowi jeziora, gdzie stały namioty. Zbocze było rzadko porośnięte drzewami i krzewami.

Andrew leżał tak kilka minut, usiłując bezskutecznie wypatrzyć dziewczynę. Kiedy już stracił nadzieję, że mu się to uda, zobaczył jakiś ciemny kształt poruszający się na środku stoku. Białka przebiegła na czworakach do kolejnej kępy krzewów i znowu przypadła do ziemi. Od najbliższego namiotu dzieliło ją już najwyżej sto metrów. Koło namiotu siedziały ciasnym kręgiem kobiety. Wysoko wyrzucając ręce do góry tłukły grubymi tłuczkami ziarno w kamiennej stępie. Opodal stał wojownik. Andrew zrozumiał, że Białka czeka, aż wojownik odejdzie. Doczekała się, wojownik poszedł sobie. Białka spokojnie wyszła zza krzaków, niosąc na ramieniu wiązkę chrustu. Kiedy przechodziła koło namiotu, jedna z kobiet zauważyła ją, uniosła głowę i o coś zapytała, po czym spokojnie wróciła do swojej pracy. Białka położyła swoją wiązkę na ogromnej stercie chrustu wznoszącej się między namiotami i zmieszała się z tłumem. Przez jakąś minutę ją widział, a potem stracił z oczu.

Rozejrzał się za jakimś charakterystycznym punktem orientacyjnym. Mniej więcej sto metrów od siebie dostrzegł pokraczne, węźlaste drzewo z ułamanym wierzchołkiem.

Postanowił przejść skrajem kotliny na tę jej stronę, gdzie urwisko podchodziło najbliżej do jeziora, żeby lepiej przyjrzeć się namiotom wiedźm. Szedł ostrożnie, starając się unikać otwartych miejsc, bo wojownicy przeszukujący zarośla i jaskinie mogli w każdej chwili wrócić. Musiał tez wystrzegać się zwierząt. W dzieciństwie Andrew czytał powieść, której bohaterowie trafili do rozległej pieczary w pobliżu Bieguna Północnego, i schodząc do niej przebywali kolejno wszystkie epoki historii Ziemi. Autorem powieści był znany geolog, który chciał opowiedzieć nastolatkom o paleontologii. Inna rzecz, że tutaj było inaczej niż w powieści fantastycznej. Tutaj było tak, jakby ktoś otworzył na oścież bramy muzeum historii naturalnej i wypuścił na wolność istoty, które dzieliły od siebie w czasie całe miliony lat. Stegozaur służył za wierzchowca wodzowi stepo-

wej hordy, pterodaktyle polatywały nad mastodontami, pitekantropy polowały na jurajskie gady. Prawa ewolucji zostały zakłócone. To chyba była najważniejsza zagadka planety, a wszystkie inne były tylko jej pochodnymi.

Zamyśliwszy się, Andrew omal nie wpadł na nosorożca, który spokojnie drzemał z pochylonym ku ziemi ogromnym pyskiem, ozdobionym czterema przerażającej wielkości rogami. Andrew ostrożnie wycofał się za wielki głaz, licząc tylko na to, że nosorożce mają bardzo słaby wzrok. Cofając się nastąpił na ostry patyk. Dotarł, skacząc na jednej nodze, do cienistego miejsca pod skałą, usiadł klnąc pod nosem i zrozumiał, że musi na razie przerwać swoją zwiadowczą wyprawę.

Pokuśtykał na stare miejsce, odłupał od kawałka grubej gałęzi dwa płaskie wióry, ostrugał je i przywiązał do stóp kawałkami giętkich łodyg trawy. Tak go ta praca pochłonęła, że nie zauważył upływu czasu.

Słońce stało już wysoko. Skądś przyleciały ślepaki i usiłowały obsiąść nagie, spalone słońcem ramiona Andrewa. Dobrze byłoby teraz pobiec nad jezioro i wykąpać się w jego chłodnej wodzie... Andrew spróbował się przejść w swoim nowym obuwiu. Podeszwy trzymały się, ale cienkie źdźbła boleśnie wrzynały się w nogi.

Czy coś się przez ostatnie dwie godziny zmieniło? Prawie nic. Brat Białki ciągle siedzi w zagrodzie. Skulony, z głową zakrytą rękami, przypomina z daleka dziwny kamień. Namiotów przybyło, zapełniły ciasno cały bliższy brzeg jeziora. Nad wpływającym do jeziora strumieniem siedzą rządkiem kobiety i chyba piorą. Wejście do namiotu Oktina Hasza jest odsłonięte, koło niego leży w cieniu kilku wojowników. Przed namiotem wznosi się tyczka z zawieszonym na niej końskim ogonem. Namioty wiedźm na przeciwległym brzegu są martwe i ciche jak przedtem. Białka powinna już wracać, ale zbocze pozostaje puste.

Gdzieś w pobliżu rozległy się głosy. Wracali wojownicy wysłani na jego poszukiwanie. Przeszli leżącym po lewej stronie płytkim wąwozikiem. Byli zmęczeni, bo rzadko się do siebie odzywali. Zrobiło się cicho. Tylko ślepaki brzęczały coraz dokuczliwiej. Andrew przeczołgał się w ślad za cieniem. Wypił dwa łyki wody z tykwy. Dobrze byłoby, gdyby Białka domyśliła się i przyniosła trochę jadła. Trzeba przecież karmić swojego mężczyznę!

Minęły już co najmniej trzy godziny, a Białka wciąż nie wracała. Co mogło ją zatrzymać w obozowisku?

* * *

Opędzając się od ślepaków, Andrew zarazem walczył z o wiele bardziej dokuczliwą chęcią porzucenia kryjówki, zejścia na dół i zrobienia czegoś. Nie ruszał się jednak z miejsca, ponieważ było oczywiste, że nie jest w stanie niczego zrobić — chociaż-

by dlatego, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak jego ewentualne działania miałyby wyglądać.

W pewnej chwili jego uwagę przyciągnęły wydarzenia rozgrywające się koło namiotu Oktina Hasza.

Wypadło z niego dwóch wojowników, zapewne należących do grupy poszukującej bezskutecznie uciekinierów. Za nimi wyskoczył sam Oktin Hasz. Nawet z daleka było widać, że wódz jest wściekły: bił wojowników nahajką, kopał nogami. Za nim na zewnątrz wytoczył się gruby czarownik. Z sąsiednich namiotów wysypywali się widzowie i niebawem cały placyk przed namiotem wodza zaczął przypominać mrowisko.

Następnie Oktin Hasz podjął decyzję.

Pechowi tropiciele odpełźli na bok, a wódz machnął nahajką, wydając jakiś rozkaz.

Czarownik wolno pokuśtykał w stronę jeziora, trzymając w ręku długi, biały przedmiot. Towarzyszył mu tłumek dzieciarni i ciekawski pies. Pochód dotarł na brzeg jeziora i tam się zatrzymał. Andrew domyślił się, że czarownik niesie róg. Uniósł go do ust. Dźwięk do Andrewa nie dotarł.

Czarownik trąbił dosyć długo, ponad minutę, i dopiero wówczas na przeciwległym brzegu jeziora odsunęła się płachta zasłaniająca wejście do jednego ze stojących tam namiotów i na słońce wyszła postać spowita w ciemną, sięgającą ziemi pelerynę. Postać uniosła rękę do góry, co zadowoliło czarownika, który ruszył z powrotem do obozowiska, wymachując niedbale rogiem.

Tymczasem — Andrew, obserwując czarownika, omal tego nie przegapił — z namiotu stojącego obok siedziby wodza wyprowadzono Jeana. Andrew od razu go rozpoznał, gdyż Jean był o głowę wyższy od swoich konwojentów i nie kołysał się jak oni. Jean był dobrym piechurem.

Andrew poczuł ulgę — Jean był przynajmniej żywy i zdrowy.

Oktin Hasz spokojnie rozmawiał z nim do momentu powrotu czarownika.

Skoro Jeana wyprowadzono natychmiast, gdy tylko okazało się, że Andrewa nie schwytano, to według wszelkiego prawdopodobieństwa Jean miał go zastąpić.

W dole uformował się dość liczny pochód. Na jego czele jechał sam Oktin Hasz. Za nim prowadzono Jeana otoczonego wojownikami. Grupa zatrzymała się przy koziej zagrodzie, gdzie do pochodu dołączył brat Białki. Następnie coraz liczniejszy tłum — po drodze dołączały gromady dzieci, psów i kobiet — ruszył niespiesznie wokół jeziora.

Jeńcy szli obok siebie, ale w dość znacznej odległości, a za nimi półkolem tłum, który jednak zbytnio się nie zbliżał, jakby bał się czymś paskudnym zarazić.

Pochód miał do przejścia ponad kilometr. Sądząc z barwy wody, jezioro było głębokie przy brzegu zamieszkałym przez wiedźmy, a od strony obozowiska rosły nad nim gęsto trzciny.

Gdzie się podziała Białka? W pochodzie nie było jej widać.

Minęło już co najmniej pół godziny, a pochód jeszcze nie dotarł do namiotów wiedźm.

Słońce stało wysoko nad głową. Andrewa skręcało z głodu i, aby go oszukać, starał się żuć trawę. Trawa była gorzka, ślepaki nie chciały się odczepić.

Zapominając o niebezpieczeństwie, Andrew wstał, chcąc wyprostować zdrętwiałe w bezruchu nogi. Zabolały tak, że runął na kamienie. Trzeba się przyzwyczaić, pomyślał, i tak trzeba będzie zejść na dół, przecież nie będę tu zimował.

Pochód zatrzymał się o jakieś sto metrów od namiotów wiedźm.

Poruszyła się zasłona i ukazały się trzy wiedźmy ubrane w znane mu już długie, ciemne peleryny z kapturami.

Tłum zakołysał się i w przerażeniu odskoczył do tyłu, cofając się coraz dalej w miarę tego, jak wiedźmy podchodziły do jeńców. Tylko Oktin Hasz i czarownik zostali na miejscu. Szaman wymachiwał rogiem, Oktin Hasz zszedł z konia i stał, trzymając go za uzdę.

Wiedźmy szły wolno, jakby płynęły.

Kiedy były od niego o jakieś dziesięć kroków, brat Białki nagle rzucił się w bok.

Biegł dziwnie pochylony do przodu — ręce miał związane za plecami. Wojownicy rzucili się za nim, rozsypali w szeroki wachlarz. Bratu Białki pozostała tylko jedna droga ucieczki: do wody.

Wiedźmy stały nieruchomo, jakby całe to wydarzenie zupełnie ich nie dotyczyło. Jean zrobił jakiś niepewny ruch, jakby chciał pójść za przykładem dzikusa, ale zatrzymał się, rozumiejąc, że ucieczka w takiej sytuacji nie ma żadnych szans powodzenia.

Brat Białki skoczył do wody. Dno jeziora musiało opadać bardzo stromo w dół, bo zapadł się po pas, a zrobiwszy krok do przodu pogrążył się już po szyję. Chłopak umiał dobrze pływać, bo mając unieruchomione ręce i pracując tylko nogami pomknął w dobrym tempie do przodu.

Ludzie na brzegu stali nieruchomo, jakby na coś czekając. Nikt nie wskoczył za uciekinierem do jeziora. Andrew zrozumiał, że brat Białki ma szansę ratunku, gdyż w obozowisku na przeciwległym brzegu nie pozostał ani jeden mężczyzna, tylko kilka starych kobiet, które stojąc przy granicy trzcinowiska, gapiły się na pływaka. Jezioro było szerokie najwyżej na dwieście metrów i gdyby nawet drużyna Oktina Hasza usiłowała go ścigać wzdłuż brzegu, to na pewno nie zdążyłaby go ująć.

Były to jednak złudne nadzieje. Woda w pobliżu pływaka gwałtownie się wzburzyła i pod powierzchnią ukazał się wielki, ciemny kształt. Z punktu obserwacyjnego Andrewa można było rozpoznać sylwetkę ogromnej ryby pędzącej w stronę człowieka.

Ludzie na obu brzegach podnieśli krzyk, zaczęli machać rękami... Trudno było orzec czy ostrzegając chłopaka, czy też wrzeszcząc z przerażenia. W każdym razie krzyk był

tak głośny, że po pewnej chwili jego odgłos dotarł do Andrewa. Zanim to nastąpiło, Bruce zobaczył, jak z wody wyłania się na moment spiczasta głowa rekina, zobaczył błysk szablastych zębów i białą plamę brzucha odwracającego się na grzbiet potwora.

Uciekinier zrozumiał, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo i spróbował płynąć jeszcze szybciej... Ale już za chwilę skrył się pod wodą, jakby wciągnięty na dno potężną dłonią.

Właśnie wtedy Andrew usłyszał krzyk ludzi.

Po dalszych kilku sekundach na wygładzającej się powierzchni wody rozpłynęła się krwawa plama.

Dzikusy na obu brzegach upadły na twarze.

Tylko trzy wiedźmy nadal stały nieruchomo jeszcze przez parę chwil, a potem dwie z nich podeszły do Jeana i stanęły po obu jego stronach, chwyciły za ręce i poprowadziły w stronę czarnego namiotu. Trzecia wiedźma zamykała pochód.

* * *

Kiedy Andrewowi udało się niepostrzeżenie dotrzeć do dna kotliny, zapadał zmierzch i wokół namiotów płonęły już pierwsze ogniska. Wiejący w górze wiatr nie docierał nad brzeg jeziora i powietrze zachowało wilgotne ciepło dnia.

Drewniane podeszwy rozsypały się po kilkudziesięciu krokach i dalej Andrew musiał kuśtykać na bosaka.

Głód wyostrzył jego powonienie. W dymie ognisk wyczuwał zapach pieczonego mięsa, w coraz bliższych głosach słyszał mlaskanie spożywających obfity posiłek ludzi. Wydawało mu się, że całe obozowisko je, żuje, ćpa i żre.

Pierwszym mieszkańcem obozowiska, na jakiego się natknął, był chudy, wyleniały pies, który odbiegł jak najdalej od namiotów, żeby spokojnie obgryźć kość. Uznał Andrewa za konkurenta i na jego widok głośno warknął, przytrzymując kość łapą.

Andrew zatrzymał się, bo na bójkę z psem nie miał najmniejszej ochoty.

Pies czekał na dalsze reakcje człowieka. Potem chwycił kość i uciekł.

Przed wyruszeniem na zwiady Andrew wymyślił następujący plan: obejdzie brzegiem jezioro i dotrze do namiotów, w których mieszkają wiedźmy, bo tam jest Jean. Skoro go zlokalizował, to może również uda mu się pomóc, uratować go. A kiedy go uwolni, to Jean stanie się tłumaczem i przewodnikiem. Wówczas będzie można pomyśleć o odszukaniu Białki.

Plan był rozsądny, ale w miarę tego, jak Andrew schodził stromym zboczem w dolinę, wyobraźnia coraz jaskrawiej rysowała mu obraz niebezpieczeństw grożących Białce. Rozum spasował przed emocjami. Wprawdzie dziewczyna nie raz już dowiodła, że jest wielekroć zwinniejsza, odważniejsza i nawet wytrzymalsza od Andrewa, ale dla niego pozostała słabą dziewczyną.

Zbliżywszy się do obozowiska, Andrew podszedł do stojącego na jego skraju namiotu i wsłuchał się w głosy dobiegające zza cienkiej, skórzanej ścianki. Głosy nakładały się na siebie, dudniły, wzmagały się i cichły — w namiocie było kilku ludzi. Głosu Białki nie usłyszał. Przed namiotem płonęło wielkie ognisko, wokół którego siedzieli mężczyźni przekazujący sobie z rąk do rąk drewnianą czarkę z jakimś napojem i leniwie rozmawiający. Z namiotu wyszła kobieta, wyniosła następne naczynie i usiadła obok mężczyzn. Jeden z nich musiał powiedzieć coś śmiesznego, bo towarzystwo przy ognisku roześmiało się i długo nie mogło się uspokoić. Kilka komarów na raz wpiło się w szyję i gołe nogi Andrewa. Dopóki człowiek jest w ruchu, to komary zostawiają go w spokoju, ale wystarczy stanąć, żeby zleciały się z całej okolicy.

Ktoś dotknął ręki Andrewa. To był mniej więcej pięcioletni chłopczyk, zupełnie nagi. Andrew drgnął, dzieciak przestraszył się gwałtownego ruchu i gotów był się rozwrzeszczeć. Andrew szybko odszedł od namiotu, starając się trzymać w cieniu.

Szybko minął kilka namiotów, zderzył się z załatwiającym się za jednym z nich mężczyzną, który sklął go: nieznajomość języka nie stanowiła tu dla Andrewa bariery, bo intonacja była zupełnie jednoznaczna... Wokół były namioty, namioty, namioty bez końca i wyjścia, zupełnie jak w koszmarnym śnie.

Trzeba było zmykać, zanim ktoś nie podniesie alarmu.

Andrew zatrzymał się, usiłując określić kierunek, w którym powinien iść.

I w tym momencie ktoś go zawołał. Głos dobiegał z tyłu.

Andrew poszedł prosto przed siebie, nie oglądając się i usiłując nie przyspieszać kroku. Przeszedł odważnie koło ogniska, dokoła którego siedzieli wojownicy, i znalazł się na niewielkim placyku, pośrodku którego stał drąg z końskim ogonem u szczytu. Zrozumiał, że znalazł się przed namiotem Oktina Hasza. Przed wejściem do niego siedział w kucki wojownik wsparty na włóczni. Drzemał.

Można było spokojnie pójść dalej, ale Andrewa opanowała ciekawość. Oktin Hasz stanowił największe zagrożenie, a niebezpieczeństwo zawsze pociąga.

Zaczął obchodzić namiot, żeby zejść z oczu wartownika. Wielkie skóry pokrywające namiot były ułożone na zakładkę i gdzieniegdzie pospinane ostrymi patykami. Andrew odszukał brzeg jednej ze skór, ostrożnie ją odchylił i zajrzał przez szparę do wnętrza namiotu wodza.

Na jego środku paliło się niewielkie ognisko, z którego dym ulatywał przez otwór w dachu. Pod jedną ze ścian znajdowało się podwyższenie pokryte skórami, na których siedziało kilku ludzi. Koło podwyższenia płonęło kilka jasnych pochodni, umocowanych na żelaznych trójnogach. Ich światło, mimo jasności, było migotliwe i niepewne.

Potem Andrew zobaczył grupkę kobiet, a wśród nich Białkę.

Obrazek by powszedni, spokojny, rzec można domowy. Właśnie ta powszedniość najbardziej wstrząsnęła Andrewem. Spodziewał się zobaczyć Białkę w więzach, obawiał

się, że ludzie Oktina Hasza będą chcieli ją zabić, że trzeba będzie ją ratować z ich łap, a tymczasem żadna jego pomoc nie była najwyraźniej potrzebna.

Przy ognisku stał drewniany szaflik z ciemnym płynem.

Od czasu do czasu ktoś wstawał, nabierał płynu do swojej czarki, wracał na miejsce i pił. Andrew zauważy, że Białka też to robi. Była tak blisko, że mógł ją zawołać, ale nie zrobił tego. Po co?

Oktin Hasz powiedział coś do Białki, dziewczyna odpowiedziała. Tłusty kastrat zachichotał. Wszyscy się doskonale bawili.

Szlag by to trafił! A ja siedziałem o suchym pysku i współczułem jej... Zdążyłbym tysiąc razy zejść na dół i pomóc Jeanowi, ale jej wierzyłem. Dlaczego wydawało mi się, że ona powinna żyć wedle tych samych zasad, co i ja? Dzielą nas tysiące lat i miliardy kilometrów. Liczyła na korzyść z uratowania mnie, a teraz uznała, że bardziej opłaci się jej ucztowanie z Oktinem Haszem.

Andrew poczuł, że ktoś się do niego zbliża. Odskoczył od namiotu. W samą porę: wartownik obudził się i ruszył w obchód. Andrew pognał przed siebie na złamanie karku. Wartownik coś głośno krzyknął za nim.

Bruce biegł zygzakami, wymijając namioty, dotarł do brzegu jeziora, stoczył się po nim i ukrył w zaroślach trzcin. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że w jeziorze żyje potwór — słodkowodny rekin-ludojad. Przez myśl przemknęło: czy na Ziemi żyły kiedykolwiek słodkowodne rekiny? Po powrocie trzeba będzie to sprawdzić.

Między namiotami trwała bieganina. Ludzie zaalarmowani przez wartownika myszkowali po obozowisku, ale nikt z nich nie zszedł na brzeg. Andrew pocieszał się myślą, że rekin nie wpłynie na płyciznę. Woda była ciepła, trzciny poruszały się i szeleściły, za nimi widać było gładką powierzchnię jeziora odbijającą światło księżyca.

Kiedy w obozowisku nastąpił spokój, Andrew ruszył w dalszą drogę.

W pół godziny później, po obejściu jeziora, znalazł się na „dziedzińcu" świątyni — zakurzonym, nagim, kamiennym placyku pośrodku porośniętej bujną trawą doliny.

Księżyc wisiał nisko nad zębatymi skałami. Nogi zdrętwiały i już nie bolały, kostki i stopy spuchły tak, że Andrew prawie stracił w nich czucie.

To nawet lepiej.

Przed nim niczym trzy czarne kopuły wznosiły się namioty wiedźm — ciche, przyczajone i złowieszcze.

Na przeciwległym brzegu jeziora dopalały się ogniska, czasem dobiegał stamtąd daleki głos, płacz dziecka, szczekanie psa...

* * *

Andrew podszedł do środkowego namiotu, do którego wiedźmy wprowadziły Jeana.

Wejście do niego było dokładnie zasłonięte, a pokrycie znacznie szczelniejsze niż w namiotach koczowników. Jeśli nawet na powłoce były jakieś szwy, to w ciemności Andrew nie zdołał ich odnaleźć.

Postał kilka minut z uchem przyciśniętym do pokrycia namiotu, niczego nie usłyszał i ostrożnie odchylił płachtę zasłaniającą wejście. Ciemno.

Cholera! Żeby chociaż zapałka...

— Jean! — zawołał półgłosem.

Żadnej reakcji.

Im dłużej Andrew stał, trzymając w ręku krawędź płachty, tym bardziej upewniał się, że namiot jest pusty. Ani westchnienia, ani szelestu, ani najmniejszego odgłosu, którym zdradzają swoją obecność nawet najgłębiej uśpieni ludzie.

Wszedł do namiotu, opuścił płachtę i znieruchomiał, wyobrażając sobie, jak zapala się światło, a przyczajony strażnik przyszpila go włócznią do ściany.

Ale światło się nie zapaliło.

Andrew przykucnął i zaczął obmacywać podłogę. Kamienna posadzka.

Ruszył wzdłuż ściany, wyciągając ręce przed siebie i powłócząc nogami. Nie natknął się na najmniejszy przedmiot. Obszedł namiot dokoła i przeciął go po przekątnej. Nic.

W namiocie nikt nie mieszkał. To była jedynie pusta powłoka.

Należało wyjść, spenetrować inne namioty, ale Andrew był już niemal pewien, że są one również takimi samymi fantomami, jak i pierwszy.

Właśnie ta podświadoma pewność nie pozwalała mu wyjść na zewnątrz. Namiot został po coś postawiony, coś musiał ukrywać. Skoro niczego nie było w nim samym, to pewnie owego tajemniczego czegoś należało szukać pod posadzką.

Przez następne kilka minut Andrew czołgał się po posadzce, opukując ją kostkami palców.

Puk-puk... Głuchy odgłos pustej przestrzeni.

Andrew tak bardzo na to liczył, że nie uwierzył własnym uszom.

Pustka odzywała się w kręgu o średnicy około metra.

Andrew przesuwał końce palców po granicy kręgu, szukając szczeliny. Wiedźmy mieszkają pod ziemią, ale wychodzą stamtąd na światło dzienne... Ciepło, Andrew, ciepło!... Zastanów się!

Gdyby on, Andrew Bruce, chciał ukryć wejście do swego lochu, postarałby się, żeby nie można go było odróżnić od reszty posadzki. Wiedźmy tak właśnie zrobiły. Następnie wymyśliłby proste urządzenie do otwierania i zamykania włazu, i zamaskowałby je tak, aby naiwni koczownicy nie potrafili go znaleźć.

Urządzenie-klucz musiało znajdować się w pobliżu włazu, żeby w razie konieczności można było szybko z niego skorzystać.

Andrew zaczął ponownie obmacywać posadzkę, czołgając się wokół włazu po spira-

li, i wkrótce odnalazł leżący na niej okrągły, płaski kamień. Upłynęło co najmniej trzy minuty prób, zanim kamień usunął się w bok, ukazując leżące pod nim wgłębienie. Andrew wsunął tam palce, nacisnął — rozległ się cichy szmer i kolista pokrywa włazu uniosła się pionowo do góry. W otworze ukazało się słabe światło.

Z dołu nie dobiegał żaden głos.

Sztolnia była wykuta w masywie skalnym — umiejętność znikania na żądanie bardzo wzmaga autorytet czarodziej.

Andrew spuścił nogi do otworu i niemal natychmiast wymacał klamrę pionowej drabinki.

Klamry niebawem się skończyły. Andrew stanął na dnie tunelu słabo oświetlonego żółtym światłem pochodni zatkniętej w ścienny uchwyt.

Słabe tchnienie powietrza musnęło policzek. Andrew odskoczył, ale to był tylko przelatujący bezszelestnie nietoperz.

Bruce nie miał żadnego planu. Wiedział tylko jedno — trzeba zachować maksymalną ostrożność. Im później zostanie zauważony, tym więcej ma szans na dokonanie czegoś.

Szedł wolno, czując, jak kamienna posadzka przyjemnie chłodzi mu zmaltretowane stopy. W pewnym momencie dostrzegł przed sobą skrzyżowanie tuneli, a zaraz potem usłyszał ciężkie kroki. Stanął i przylgnął plecami do ściany.

Wiedźma omal się o niego nie otarła. Niosła na ręku jakiś metalowy przedmiot — Andrew spostrzegł jedynie matowy odblask, nie rejestrując kształtu. Pod wielkim kapturem rysował się ostry profil, przywodzący na myśl pysk starego szczura. Dolna część twarzy była ścięta i wraz z pochylonym czołem tworzyła trójkąt, którego wierzchołek stanowił czubek nieco obwisłego ze starości nosa. Starucha drobiła krok, co sprawiało wrażenie, jakby miała cztery nogi. Wrażenie było tak silne, że Andrew odruchowo sprawdził, czy wiedźmie nie wystaje spod peleryny ogon. Ale niczego nie dostrzegł — czarny płaszcz spowijał całe ciało, sięgając ziemi i odsłaniając jedynie blade plamy twarzy i dłoni.

W ruchach wiedźmy było coś złowieszczego.

Przeszła korytarzem krzyżującym się z tunelem, w którym stał Andrew. Kiedy jej kroki ucichły, ostrożnie popatrzył za nią zza rogu.

Zdążył zobaczyć, jak starucha zatrzymała się przy gładkiej ścianie i przesunęła po niej ręką. W ścianie powstał czarny otwór, w którym wiedźma zniknęła.

Andrew stał przy zbiegu tuneli, zerkał na nierówny, blady płomień pochodni, na czarną dziurę w ścianie i popędzał w myśli staruchę: no idź już, idź sobie, najwyższa pora spać, czemu włóczysz się po nocy?

Grobowa cisza podziemia stała się tak doskwierająca, że Andrew chciał już ruszyć dalej, kiedy wiedźma znów pokazała się w przejściu. Znów przesunęła ręką po ścianie

i otwór zniknął.

Starucha wracała tą samą drogą. Zaraz zatrzyma się, pociągnie nosem i powie: „Tutaj człowiekiem pachnie..." Co za idiotyzmy przychodzą człowiekowi do głowy! Trzy dni temu Andrew w najkoszmarniejszym śnie nie mógł przypuszczać, że jego życie będzie zależało od jakiejś starej, kosmicznej wiedźmy.

Kroki ucichły. Andrew policzył do stu. Miejmy nadzieję, że starsze panie poszły już spać.

Raz kozie śmierć! Andrew wszedł do szerokiego, poprzecznego tunelu, a właściwie naturalnego korytarza o nierównych ścianach i stalaktytach gdzieniegdzie zwisających ze stropu, i dotarł do miejsca, gdzie wiedźma przeprowadzała swoje manipulacje. Tam długo przesuwał rękoma po ścianie, zanim odnalazł poszukiwaną wypukłość.

Drzwi cicho cmoknęły i odsunęły się w bok. Andrew wkroczył w atłasową czerń nie znanego pomieszczenia i kamienne drzwi niezwłocznie zamknęły się za jego plecami. Zaklął pod nosem. Miał dość niespodzianek.

Zaraz potem zapłonęło blade światło.

Andrew stał w obszernej jaskini, której strop w paru miejscach podparty był równo ciosanymi kamiennymi słupami. To była sala muzealna, mocno zresztą zaniedbana — tuż przy wejściu rozpościerała się wielka kałuża, na posadzce poniewierały się jakieś szmaty... Między kolumnami majaczyły rzędy szaf i gablot.

Andrew przez chwilę nasłuchiwał. Nic, tylko nierówny stukot spadających kropli...

Szafy stojące pod ścianami były jednakowe, wykonane z matowego metalu. Niektóre zaopatrzone były w okrągłe wzierniki. Andrew podszedł do szafy i zajrzał do środka — było tam ciemno i można było jedynie przypuszczać, że szafa wypełniona jest płynem.

Środek sali zatłoczony był ciasno stojącymi gablotami, tworzącymi prawdziwy labirynt. Nie, to nie była sala wystawowa, tylko magazyn muzealny.

Przeciskając się między gablotami, Andrew przyglądał się eksponatom. Były to rośliny i zwierzęta, znane mu już i całkowicie nie znane. Okazy były ustawione według pewnego systemu — w przeciwieństwie do powierzchni planety, gdzie zwierzęta i rośliny pochodzące z różnych epok geologicznych były koszmarnie ze sobą przemieszane, w magazynie muzealnym eksponowano je w porządku chronologicznym. W gablotach stojących najbliżej wejścia znajdowały się trylobity, ryby, rośliny wodne, ogromne muszle i pokryte pancerzami zwierzęta, prymitywnie masywne i niezgrabne, długachne pierścienice, rozgwiazdy o dwumetrowej średnicy... Dopiero po przejściu około stu metrów trafiało się do innej epoki. Były tam stworzenia ziemnowodne, ryby trzonopłetwe wypełzające na ląd, prymitywne gady. I im dalej Andrew szedł, tym gady stawały się coraz liczniejsze i większe. Wreszcie zobaczył gablotę, w której znajdowało się zwierzątko pokryte sierścią. Nie był w stanie dokładnie zwiedzić muzeum, ponieważ liczba

i rozmaitość znajdujących się w nim gablot były nieprawdopodobnie wielkie, rozmiary eksponatów zaś bywały gigantyczne — w jednej z gablot mieścił się diplodok, a w sąsiedniej czterdziestometrowy rekin. Andrew musiał przyznać właścicielom muzeum, że potrafili tak przechowywać swoje okazy, że żaden z nich nie utracił nawet jednego listka, piórka czy kępki włosów. Zwierzęta wyglądały jak żywe.

Muzeum było ostatnią rzeczą, jaką spodziewał się znaleźć w siedzibie wiedźm, i dlatego irytowało go to, nie mieściło się w koncepcji. Czy to możliwe, aby jakaś wszechmocna istota, która potrafiła przecinać mieczem góry, przysłała tu wyprawę, której celem było zebranie kolekcji fauny i flory? Potem coś się stało — zbierania eksponatów zaniechano, a już zgromadzone pozostały w podziemnym magazynie, sami zaś zbieracze odlecieli. Do porzuconego muzeum przedostały się wiedźmy, które uznały, że muzealne podziemie znakomicie nadaje się do odprawiania ich tajnych misteriów. Mieszkają więc tutaj, jak szczury w porzuconym mieście, nie zdając sobie sprawy z przeznaczenia otaczających ich przedmiotów...

Tak rozmyślając, Andrew przechodził z sali do sali. W czwartej natrafił na człekokształtnych. Najpierw zobaczył niewielkie, przygarbione małpy, potem pitekantropa. Owe naczelne sąsiadowały z witrynami kryjącymi niedźwiedzia jaskiniowego, gigantycznego łosia i tygrysa szablastego.

Dziwne, pomyślał Andrew. Dlaczego twórcy muzeum ustawili eksponaty zgodnie z drabiną ewolucyjną? Ich też wyprowadzała z równowagi nielogiczność tej planety?

I w tym momencie zobaczył człowieka.

Przez moment wydawało mu się, że człowiek żyje i schował się w gablocie, żeby go przestraszyć.

To przekonanie wynikało zapewne ze stereotypu, że w muzeum mogą stać wypchane zwierzęta, ale nie wypchani ludzie. Tym bardziej, że to nie był żaden preparowany eksponat, tylko najprawdziwszy w świecie człowiek pierwotny z ciałem porośniętym gęstym, rudym futrem, krótką szczęką i pochyłym czołem. Człowiek patrzył na Andrewa znieruchomiałymi oczami i jedynie ta nieruchomość wzroku, z początku przerażająca, pozwalała uwierzyć, że ów człowiek jest „zakonserwowany".

U nóg dzikusa leżały rządkiem prymitywne krzemienne skrobaki i kościane igły.

Tego nie zrobili ludzie, zrozumiał Andrew, przechodząc do następnej gabloty, z której patrzyła na niego mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka. Być może ich ewolucja biegła tak dalece odmienną drogą, że nie czują różnicy między spreparowanym diplodokiem a spreparowanym człowiekiem?

A ludzi w tej sali było niemało, co najmniej setka.

Andrew wolno i z niechęcią wędrował między ciasno ustawionymi gablotami-akwariami dla ludzi. Zostali oni zaskoczeni przez śmierć w momencie, kiedy się jej nie spodziewali — twarze były spokojne.

Nie mając już sił dalej zwiedzać tej wystawy, Andrew skręcił w lewo, mając nadzieję obejść gabloty wzdłuż ściany, ale tam natknął się na długą, szklaną szafę, podzieloną na przezroczyste segmenty, w których leżały setki ludzkich serc, nerek, mózgów...

Ruszył przed siebie szybszym krokiem, starając się nie patrzeć na boki, i wreszcie dotarł do końca wystawy — dalej były jedynie puste, oczekujące na kolejne eksponaty pojemniki.

Westchnął z ulgą i spojrzał na ostatnią gablotę.

Napotkał wzrok Jeana Żirblisa — szczupłego, wysokiego, nagiego i głupio ostrzyżonego w poprzeczny grzebień. Oczy miał otwarte i patrzył na Andrewa, gdyż nigdzie nie patrzył...

Właściciele muzeum nie porzucili planety. Nadal uzupełniali zbiory, kryjąc się głęboko pod ziemią lub też przybierając kształt wiedźm. Oto czemu wiedźmy żądają ofiar z ludzi. Potrzebują eksponatów...

Dalsza wędrówka straciła sens.

Kilka godzin temu Andrew miał na tej planecie dwoje przyjaciół — Białkę i Jeana. Teraz nie miał nikogo.

* * *

Nie wiedzieć czemu Andrew próbował rozbić gablotę i wyzwolić Jeana. Nie miało to najmniejszego sensu, bo przecież Jean był martwy.

Śmierć Jeana była nieszczęściem, a dalszy los — zalanego spirytusem eksponatu umieszczonego w słoju — poniżeniem tym większym, że nagość człowieka cywilizowanego, prowadzącego niezbyt zdrowy tryb życia, nie uprawiającego sportów, wywoływała odruch niechęci.

Potem Andrew otrząsnął się. Nie ma nic głupszego nad daremne tracenie czasu w takiej sytuacji. Można co najwyżej samemu trafić do słoika. Odwrócił się i ruszył przed siebie, plaskając głośno o posadzkę spuchniętymi stopami.

Musi się stąd wyrwać, wydostać z tej przeklętej kotliny i wrócić do ludzi. Oktin Hasz jest zaledwie żałosną marionetką w rękach wiedźm. Wiedźmy! Jakie tam z nich u diabła wiedźmy!... To zamaskowani, ukryci pod ciemnymi pelerynami zimni i wyrachowali oprawcy, obce umysły, które najechały tę planetę... Gdyby udało się znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania Galaktyka stałaby się prosta i dla wszystkich przyjazna. Osiąga się porozumienie na jednym poziomie, walczy o jego zachowanie po to tylko, żeby za następnym zakrętem zobaczyć człowieka stojącego na głowie. Dlaczego pan stoi na głowie? — pytacie go niewinnie, bo przecież u was w domu ludzie nie stoją na głowie, a tymczasem ów człowiek, nie zmieniając pozy, wypuszcza do was serię z broni maszynowej, gdyż obraziliście go śmiertelnie swoim pytaniem...

Za salą, w której stała gablota z Jeanem, zaczynał się długi, szeroki korytarz, które-

go ściany tworzyły rzędy pięciometrowych, metalowych szaf. Korytarz był bardzo źle oświetlony rzadko rozmieszczonymi w suficie słabymi lampami. Andrew schwytał się na tym, że biegnie powolnym, utykającym truchcikiem, oddychając zbyt głośno, jak na ciszę panującą w podziemiu. Zmusił się do zwolnienia kroku, a potem zatrzymał i zaczął nasłuchiwać.

Po chwili usłyszał kroki — niepewne i ostrożne. Wcisnął się plecami w metalową szafę, gotów do natychmiastowej ucieczki.

W półmroku ukazała się ludzka postać. Człowiek był nagi i sądząc z fryzury należał do hordy Oktina Hasza.

Zaatakować?

Człowiek zobaczył Andrewa i przyspieszył kroku.

Wówczas Andrew zawrócił i zaczął uciekać. Biec było trudno, bo spuchnięte stopy ślizgały się na kamiennej posadzce. W dodatku nie potrafił się już naprawdę bać, opanowany apatią, która zwaliła się na niego, gdy zobaczył to, co zostało z Jeana.

Odwrócił się i zobaczył, że nagi dzikus biegnie za nim. Skręcił z powrotem do sali muzeum w nadziei, że zdoła się ukryć między gablotami.

Zobaczył przed sobą ciało Jeana...

— Andrew! — usłyszał. — Andrew, co pan robi, przecież pana poznałem!

Słowa były skierowane do niego, a wypowiedzieć je mógł jedynie ścigający go człowiek.

Andrew zatrzymał się.

— Andrew, pan mnie nie poznał? To przecież ja, Jean Żirblis!

* * *

Andrew przeraził się.

Jeden Jean, martwy, stał tuż obok niego. Drugi, żywy i zadyszany, podbiegał z tyłu.

— Co pan sobie myśli! — krzyknął idiotycznie.

Zdumiony Jean stanął.

— Nie rozumiem — powiedział. — Coś się stało? Czym pana tak rozgniewałem?

— O, tym! — Andrew był nadal w szoku. — Co pan ze sobą zrobił?

— Na razie nic — odpowiedział uspokajająco Jean.

— A to? — Andrew pokazał ciało Jeana stojące w gablocie.

Jean podszedł bliżej, Andrew cofnął się o krok.

— Ale głupio wyglądam — powiedział Jean. — Nie ma pan przypadkiem jakiejś szmaty, żebym mógł zakryć lędźwie? Bardzo nieprzyzwoity widok, ale tylko dla obserwatora z boku... — Własne rozdwojenie zupełnie Jeana nie dziwiło.

— Nie to miałem na myśli! To pańskie ciało?

— To jest mój hologram — odparł Jean. — Znakomite osiągnięcie techniki. Gdybym

nie wiedział, że jestem tutaj, to byłbym przekonany, że stoję w gablotce.

— Rozumiem. Ale po co zdejmowali hologram i wystawili w tym panopticum, skoro mają pana we własnej osobie?

— Zapewniam pana, że to naprawdę znakomite osiągnięcie. Nie mogłem oderwać wzroku, kiedy to robili. Sądzi pan, że to zwyczajny hologram? Nic podobnego, to całe miliony warstwowych hologramów mojego ciała, zakodowanego w tym wizerunku aż do ostatniej komórki. To jest mój idealny pomnik. Jutro oddadzą mnie czarownikowi, a wojownicy Oktina Hasza rzucą mnie na pożarcie rekinowi. Widział pan, jaki rekin mieszka w tym jeziorze?

— Widziałem.

— Zginę, a im pozostanie moja doskonała kopia.

— Chodźmy stąd — powiedział Andrew. — Porozmawiajmy na zewnątrz. Oni w każdej chwili mogą zorientować się, że pana nie ma.

Andrew już oprzytomniał i zaczął trzeźwo myśleć o zagrażającym im niebezpieczeństwie.

— Nie zorientują się — uspokoił go Jean. — Śpią.

Mimo wszystko wyszli z sali muzealnej, bo sąsiedztwo kukły Jeana obu im działało na nerwy.

— Kim są te wiedźmy?

Nie wiem — odparł Jean.

Rozmawiał pan z nimi?

— Rozmawiałem, nawet długo, ale niewiele się dowiedziałem. Znowu znaleźli się na korytarzu.

— Jest jakieś inne wyjście na górę, czy trzeba wracać przez to Przeklęte muzeum?

— Mnie przez muzeum nie prowadzono.

— Po co oni u diabła to robią?

— Andrew, pan zadaje zbyt wiele pytań — uśmiechnął się Jean. — Ja sam prawie niczego nie wiem. Robią tak... bo tak trzeba. Jest to odpowiedź, jaką zdołałem uzyskać. Otrzymują ofiarę, to znaczy na przykład mnie lub innego jeńca, tylko na jakiś czas, zwykle na jedną noc. Uważa się, że przygotowują ofiarę, która jednak nie należy do nich, tylko do hordy. „Wypożyczoną" ofiarę zwracają. Taki zwyczaj.

— To niczego nie tłumaczy.

— Zaprowadziły mnie do swojego laboratorium.

— Wiedźmy mają swoje laboratorium?

— Kiedy mnie tam zaprowadziły, kamień spadł mi z serca. A więc nie znalazłem się we władzy bezlitosnych dzikusów. A więc są tu cywilizowane istoty. Patrzę na te brudne, starcze pyski i mówię: zrozumcie, zaszło nieporozumienie, trafiłem tutaj przez po-

myłkę. Ale nie uwierzyły mi, że nie jestem dzikusem...

Jean zwolnił kroku.

— Chce pan obejrzeć laboratorium?

— A jest pan pewny, że się nie obudzą?

— Proszę zajrzeć.

Jean otworzył drzwi w ścianie. On też zorientował się, jak tutaj wyglądają klamki. Kamienna płyta zapadła się pod posadzkę. W pomieszczeniu było mroczno.

— Ostrożnie, niech pan sobie nie rozbije głowy. Mają tutaj kłopoty z energią — powiedział Jean. — Pytałem o to, ale niczego się nie dowiedziałem. Usłyszałem jedynie, że wiedźmy nie wymagają zasilania, bo są wiedźmami. Pewnie chodziło im o pokarm...

— Być może — powiedział Andrew, wchodząc do obszernej sali ciasno zastawionej urządzeniami o nie znanym przeznaczeniu. — Te wiedźmy same dawały sobie z tym radę?

— I to z dużą wprawą.

— Nie opierał się pan?

— Przekonałem się na własnej skórze, że wiedźmy mają siłę niedźwiedzi.

Andrew podszedł do stołu operacyjnego, z którego zwisały plastykowe pasy, i pchnął go ręką. Stół odjechał.

Pomyślałem sobie, że będą mnie kroić i bardzo się przestraszyłem.

Szli za stołem, który toczył się w kąt pomieszczenia.

— Jedna z wiedźm przekonywała mnie, że nic nie będzie bolało, że nie zrobią mi żadnej krzywdy.

— Możesz uchwycić obcy akcent w tutejszym języku? — Andrew odruchowo przeszedł z Jeanem na „ty".

— Mam zdolności językowe, mam wyczucie. To był ich język. Ale mówiły jedynie usta, reszta twarzy w tym nie uczestniczyła. To nienormalne.

— I co dalej?

— A dalej zaczęły mnie badać. Nie tylko zhologrofowały mnie, ale również pobrały próbki krwi, skóry, włosów. Czasami było to dość nieprzyjemne. Wiedźmy zachowywały się okropnie rzeczowo.

— Rozmawiały ze sobą?

— Nie, ale gdy tylko się uspokoiłem, zacząłem zadawać pytania. Odpowiadały. Powiedziały, że badają mnie, żeby pozostała po mnie pamiątka. A mnie oddadzą rekinowi, bo tak każe prawo. Łatwiej bym wszystko zrozumiał, gdyby odprawiały wokół mnie rytualne pląsy, odczyniały uroki. A one dokonywały badań fizjologicznych. Potem zobaczyłem, jak w szklanym cylindrze pojawia się moja kopia — najpierw był to szkielet, który następnie zaczął obrastać naczyniami krwionośnymi, wnętrznościami. Pasjonujący widok. Kiedy pojawiła się skóra, to zacząłem się zastanawiać, skąd ja znam

tego faceta. A to byłem ja we własnej osobie.

— Jak im uciekłeś?

— Te humanitarne badaczki zamknęły mnie w pustej celi, ale udało mi się podpatrzeć, jak się tutaj otwiera drzwi.

— Mówisz humanitarne?

— Naturalnie. Bardzo wygodnie się urządziły. Nikogo nie zabijają. Są prawdziwymi uczonymi, eksperymentatorami kompletującymi muzeum historii naturalnej, nie czyniącymi przy tym nikomu krzywdy. Wypożyczają jedynie tych, którzy zgodnie z prawami stepu muszą zginąć. Pamiętasz, jak postępowała Inkwizycja? Zbrodniarz był przekazywany w ręce władzy świeckiej...

— Zastanawiałem się — powiedział Andrew — skąd Oktin Hasz ma tyle żelaza?

Jean zatrzymał się przy następnych drzwiach.

— Wiedźmy są tutaj — powiedział i przesunął ręką po ścianie. — Szukałem wyjścia i natknąłem się na nie.

W niewielkim pomieszczeniu, z kilkoma ślepymi ekranami nad ciągnącym się wzdłuż całej ściany pulpitem sterowniczym, stało nieruchomo — niczym rząd ciemnych zjaw — sześć wiedźm. Sześć jednakowych, czarnych postaci zawiniętych w obszerne peleryny. Jednakowego wzrostu, jednakowej budowy, stały w równym szeregu niczym manekiny, i to właśnie umocniło ostatecznie Andrewa w jego podejrzeniach.

Jean został przy wejściu.

Twarze wiedźm były też jednakowe. Oczy otwarte i puste.

Andrew przypatrzył się uważnie pierwszej ze staruch. Uniósł jej ciężką, zimną rękę.

— Ostrożnie — ostrzegł Jean.

— Nic nie mów, Jean — powiedział Andrew. — Znakomicie znasz się na językach, a ja potrafię rozbierać zegarki.

— Zegarki?

— Żeby zobaczyć, czy przypadkiem gdzieś w środku nie ma „pluskwy". Bo i takie dziwne zegarki się zdarzają.

Mówiąc to, Andrew nie próżnował. Odszukał cienki szew na pelerynie wiedźmy — czarny zamek błyskawiczny. Peleryna rozwarła się. Jean spodziewał się zobaczyć białe, starcze ciało i gotów już był odwrócić się. Ale zobaczył metalową tarczę. Palce Andrewa pracowały szybko, lecz ostrożnie. Przypominał sapera, który unieszkodliwia minę gotową w każdej chwili wybuchnąć.

Szczęknęło. Tarcza odskoczyła, Andrew brutalnie wyszarpnął jakiś wspornik, na posadzkę z żałosnym brzękiem posypały się mikroskopijne cząstki urządzenia.

— Niech ci ziemia lekką będzie, babciu — powiedział Andrew przechodząc do następnej wiedźmy.

* * *

Kiedy wyszli z czarnego namiotu, na zewnątrz zrobiło się jaśniej. Księżyc stał wysoko, jego światło kładło się plamami na wodzie jeziora i pokrytym kamykami kamiennym placyku między namiotami — dziedzińcu ofiarnym. Andrew zebrał kilka kamyków, gładkich i półprzeźroczystych, migocących tajemniczym blaskiem.

Obozowisko na przeciwległym brzegu spało. Tylko w jednym miejscu jarzyło się purpurą dogasające ognisko. W świetle księżyca namioty wyglądały jak kupki ziemi wyrzucone przez kreta na powierzchnię łąki. Było tak cicho, że kiedy na odległym zboczu zarżał koń, to wydało się, że dźwięk zrodził się tuż obok.

— Tu nie ma cykad — powiedział cicho Andrew.

— Jaki piękny widok — powiedział Jean. — Nie przypuszczałem, że będę jeszcze kiedyś zachwycał się gwiazdami.

— Na szczęście nasza pamięć jest selektywna.

Ingrid bardzo lubiła noc. Bardziej niż dzień. Nie uważasz, że to dziwne?

Andrew nie odpowiedział. Patrzył na drugi namiot wiedźm. Potem powiedział:

— Zajrzę tam. Mamy jeszcze czas.

Tego akurat nie wiemy — zauważył Jean, ale poszedł za nim.

Andrew włączył pochodnię, którą zdjął ze ściany w lochach czarownic, i odtąd nie wypuszczał z ręki. Latarnia była zręczną imitacją pochodni — właściciele wiedźm nie chcieli, żeby dzikus, który przypadkiem dostanie się do środka, zaczął coś podejrzewać. Na końcu pochodni rozgorzał płomień — nierówny, łopocący i podobny do prawdziwego.

Andrew odrzucił płachtę wejściową.

Uniosły się tumany kurzu. Do namiotu od dawna nikt nie wchodził. Przez jego środek ciągnął się niewysoki, długi stół z porozrzucanymi na nim białymi kośćmi.

Andrew podszedł do niego.

— Ostrożnie! — zawołał Jean.

Andrew omal nie nadepnął na czaszkę. Na ludzką czaszkę. Leżące na stole kości również należały do człowieka. W głębokim fotelu siedział szkielet, z którego zwisały w dziwnych frędzlach resztki lśniącego stroju. Szkielet tylko dlatego nie rozsypał się i nie spadł z fotela, że był przybity do jego oparcia trzema krótkimi włóczniami.

Migotliwy płomień pochodni sprawiał, że szkielet siedzący w fotelu wydawał się poruszać. Andrew obszedł stół dokoła. Jeszcze jeden szkielet leżał rozciągnięty na posadzce; na przegubie jego ręki widniała metalowa bransoletka z jakimś przyrządem. Odzież była poszarpana na strzępy. Andrew zrozumiał, że do zwłok dobrały się gryzonie albo mrówki. Czaszka człowieka leżącego na posadzce była rozrąbana toporem.

Andrew przykucnął i zaczął obmacywać posadzkę. Tu też musiało być wejście do lochu.

— Kim oni byli? — zapytał Jean z ciemności. Nie odchodził od progu.

— Właścicielami wiedźm — odparł Andrew. — Sądziłem, że już się tego domyśliłeś.

— Kto ich zabił?

— Zadajesz retoryczne pytania.

— Koczownicy — powiedział Jean — panicznie boją się wiedźm, nigdy by na nie nie podnieśli ręki.

— Zdumiewający pogląd Andrew znalazł wreszcie kamień-klucz. — Konrad wierzył w coś podobnego do ostatniego tchnienia. Koczownicy są jeszcze zbyt pierwotni, żeby kogoś panicznie się bać. Jak tylko urodził się wśród nich wystarczająco zmyślny wódz, to natychmiast wyciągnął odpowiednie wnioski. Korzystne dla siebie. Wyobraź sobie taki obrazek...

Głos Andrewa zabrzmiał głucho i Jean zobaczył, że płomień pochodni opada w dół, oświetla właz szybu, a następnie kryje się w nim.

— Dokąd idziesz?

— Trzeba przecież zobaczyć, co jest w środku.

— Słuchaj, Andrew, przyleci tu wyprawa, która wszystko zbada. Tu jest... nieprzyjemnie.

Jean jednak odszedł od wejścia i stanął nad szybem.

— Tak właśnie myślałem — powiedział Andrew, oświetlając szkielet leżący na dnie. Szkielet ubrany był w luźny zielony strój — padlinożercy nie przedostali się do lochu. Ten tutaj zdążył zatrzasnąć właz i zagrać Oktinowi Haszowi na nosie.

— Jesteś przekonany, że to sprawka Oktina Hasza?

— Absolutnie — odparł Andrew.

Mówił z głową uniesioną do góry i w świetle pochodni jego twarz wyglądała przerażająco.

— To był eksperyment — ciągnął. — Kiedy nasi przylecą, to zbadają lochy i potwierdzą moje wnioski. To był wspaniały, gigantyczny eksperyment, na który nawet nas jeszcze nie stać. Wzięli planetę, na której życie stawiało dopiero pierwsze kroki, i zaczęli popędzać ewolucję. Stworzyli dla niej optymalne warunki, podkręcali genetykę, wtłaczali miliony lat w dziesięciolecia.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Gdyż jest to jedyne wytłumaczenie faktu, iż żyją tu obok siebie dinozaury i pitekantropy. Nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, dlaczego dinozaury nie wymarły. Dlaczego ptaki nie wyparły pterodaktyli? A odpowiedź okazała się stosunkowo prosta: nie zdążyły wymrzeć. Ewolucja biegła tu pod kontrolą genetyków i inżynierów genetycznych. Zbyt szybko...

— Ale i tak musiało to trwać wiele lat.

— Tysiące, kilka tysięcy.

— Ale po co? Po co to komu potrzebne?

— Mogę ci wymienić mnóstwo doświadczeń, które ziemska nauka przeprowadziła już i dokonuje nadal, a które mogą się laikowi wydać pozbawione najmniejszego sensu. Kiedyś wyśmiewano eksperymenty genetyków z muszką owocową... A wiesz, czym zajmował się mój dziadek, powszechnie szanowany profesor? Wraz ze swoimi uczniami wytwarzał paleolityczne narzędzia, zwalał drzewa kamiennymi toporkami, podróżował w łódkach-dłubankach i orał ziemię drewnianą sochą. Chciał odtworzyć prehistoryczną technologię. Eksperymenty, na które porywa się nauka są tym bardziej imponujące, im większymi możliwościami dysponują uczeni. Mogę się założyć, że kiedy biolodzy i paleontolodzy na Ziemi dowiedzą się o tym eksperymencie, to zaczną sobie gryźć palce z zawiści. Odtworzyć ewolucję na całej planecie, to jest dopiero coś!

— Ale ten eksperyment trwał wiele pokoleń...

— Skąd ta pewność? — powiedział Andrew. Opuścił głowę patrząc na szkielet leżący u jego nóg. Światło pochodni wyrwało z mroku resztki siwych włosów przyklejonych do czaszki. — Nie wiemy, ile lat oni żyli. Może byli nieśmiertelni? Może żyli po tysiąc lat? Co my o nich wiemy, bracie Jean?

— Nawet jeśli masz rację, to oni ponieśli klęskę — powiedział Jean.

— Masz rację. Mogli rozrąbać grzbiet górski, żeby osuszyć dolinę lub urządzić bagno dla diplodoków. Osiągnęli najważniejszy cel — stworzyli człowieka rozumnego i musieli przystosowywać się do własnego tworu. Skonstruowali wiedźmy, żeby przyspieszyć rozwój ludzi i wykorzystać ich wiarę w siły nadprzyrodzone. Ludzie sami zaczęli przyprowadzać do nich... — Andrew przerwał, szukając odpowiedniego słowa.

— Okazy — podpowiedział mu Jean.

— Nadal poganiali ewolucję, sądząc, że postęp społeczny można przyspieszyć tak samo, jak postęp genetyczny. Zamiast czekać wiele tysiącleci, aż ludzie sami nauczą się wytapiać metale, zaczęli dawać im wyroby z metalu. Wyroby gotowe w postaci broni. Eksperyment dał wynik pozytywny.

— To był nieludzki eksperyment.

— Obawiam się, że o tym aspekcie nie pomyśleli.

— Na czym by się zatrzymali?

— Nie mam pojęcia. Ale zatrzymał ich Oktin Hasz, który szybko pojął, skąd biorą się groty strzał i noże. Aby stać się władcą stepu, potrzebował znacznie więcej stalowych noży niż dostawał. Widocznie eksperymentatorzy odmówili spełnienia jego wygórowanych życzeń, więc postanowił wziąć losy ewolucji we własne ręce.

— I zaskoczył ich.

— Zbyt dobrze znali tę planetę i byli przekonani, że wszystko tutaj stanowi twór ich rozumu. Łącznie z Oktinem Haszem...

Potwór Frankensteina pożarł swojego twórcę?

— Nie to jest najgorsze: Oktin Hasz nabrał doświadczenia w kontaktach z niebiańskimi przybyszami. Poznał smak ich krwi. I to zgubiło naszych kolegów. Niebezpiecznie jest być bogiem...

— Niebezpiecznie jest uważać się za boga — poprawił Andrewa Jean.

— Zbadam ten korytarz.

— Tylko nie odchodź daleko — poprosił Jean.

Pod ścianami stały nie kończące się regały, zastawione ciasno pojemnikami.

Andrew otworzył pierwszy z brzegu kontener i zobaczył groty strzał. Stalowe, dobrze wyostrzone groty, zapakowane w plastykowe torebki i ułożone w równe rzędy. Wszystkie wyszły spod jednej sztancy, doskonale imitującej nierówności, jakie powstają przy ręcznym kuciu.

— Jak sądzisz — dobiegł go głos Jeana — dlaczego nie przylecieli następni? Dlaczego zostały tylko roboty?

— Nie wiem — odpowiedział Andrew.

Regały, regały, regały. Pojemniki z bronią i narzędziami dla mieszkańców stepu na teraz i później. Skrzynka ze strzemionami... kontener pełny stalowych mieczy... torebki z ziarnem siewnym, metalowe harpuny, stalowe igły... Korytarz ciągnął się daleko i po to, aby dowiedzieć się, gdzie przebiegała granica, na której eksperymentatorzy postanowili się zatrzymać, trzeba było stracić jeszcze mnóstwo czasu.

Na kilka sekund Andrew przystanął pod szerokim łukiem prowadzącym do ledwie oświetlonej sali, gdzie w długich rzędach stały jakieś maszyny osłonięte jednakowymi, srebrzystymi pokrowcami. Kontrola nad planetą wymagała nieprawdopodobnej pomysłowości i bajecznych zasobów... Ale wszystko to nie uratowało „bogów".

— Hej! — dobiegł daleki okrzyk Jeana.

— Idę — odezwał się Andrew.

— Co tam jest? — zapytał Jean, patrząc na stalowy miecz, który Andrew wziął z regału.

— Magazyny. Magazyny paciorków i innych podarków dla dzikusów. Pomoce dla ogólnorozwojowego kształcenia.

Andrew ruszył do wyjścia.

— To smutne — powiedział Jean, wychodząc za nim i ostrożnie opuszczając płachtę wejściową, jakby lękając się zakłócić spokój tych, którzy zostali w namiocie. — Tyle wysiłku na nic.

— Niezupełnie na nic. Wszyscy ci ludzie istnieją. — Andrew wskazał ręką uśpione obozowisko.

— To niewolnicy okrutnika, Oktina Hasza.

— Kim jest Oktin Hasz? Dzikim chłopaczkiem. Dali mu cukierek, a on odciął obdarowującą go rękę. Teraz będzie musiał liczyć jedynie na siebie.

Z prawej strony, nad górami, niebo zaczęło się rozjaśniać. Chłodny wietrzyk zmarszczył ciemną powierzchnię jeziora, które na środku wzburzyło się, zafalowało, rozkołysując trzcinowisko na przeciwległym brzegu. Rekin zgłodniał i czekał na żarcie.

— Niedoczekanie twoje! — powiedział do niego Andrew, owijając się w czarną pelerynę zabraną wyłączonej wiedźmie.

Jean nie zrozumiał i zapytał:

— Komu się odgrażasz?

— Nie wiem — odparł Andrew nieuważnie.

— Lepiej uciekać tam, przez góry — powiedział Jean.

— I dokąd to mamy uciekać?

— Najpierw trzeba się maksymalnie oddalić, a potem znajdziemy sposób na porozumienie się z naszymi.

— I jak daleko zajdziemy tym stepem na piechotę? W najlepszym razie dogonią nas za parę godzin, a w najgorszym schrupie nas pierwszy napotkany tyranozaur.

— No to mamy poddać się Oktinowi Haszowi?

— To jedno z możliwych wyjść — odrzekł poważnie Andrew.

— Wydostajemy się stąd, potem rozpalamy wielkie ognisko — powiedział Jean — i zauważają nas z góry.

— Pod paroma warunkami — zaoponował Andrew. Po pierwsze, musimy mieć pewność, że nasi wciąż jeszcze obserwują planetę. A ja osobiście nie widziałbym w tym większego sensu.

— Ale przecież oni muszą nas odszukać!

Wedle dostępnych im informacji nas już nie ma. Zginęliśmy na stacji. A jeśli nawet statek pozostał na orbicie, to jak zamierzasz rozpalić ognisko? Tarciem? A może schowałeś w uchu zapalniczkę?

— To nie znaczy, że mamy się poddać!

— Wcale cię do tego nie namawiam. Gdybym lubił się poddawać, to przecież bym ciebie nie szukał.

— Ale przecież jakoś tu dotarłeś! Sam!

— Nie sam. Nie przeżyłbym na stepie nawet godziny, gdyby nie Białka.

— Białka?

I kiedy to imię zostało wypowiedziane przez stojącego obok innego człowieka, wróciła wraz z nim i sama Białka. Przed momentem jej nie było, została wypędzona z pamięci. Białka, która spała z głową ufnie przytuloną do jego piersi, Białka z wściekłymi ze złości oczyma, pędząca za wojownikiem Oktina Hasza, Białka płacząca w lesie...

— Uwolniła mnie — powiedział Andrew. — Bo niby w jaki inny sposób mógłbym się tu zjawić?

— Słusznie. Sam się ciągle zastanawiałem, co z tobą zrobili. Przecież powinieneś dotrzeć tu przede mną... Ojciec ją posłał?

— Innym razem ci to opowiem.

Szli brzegiem jeziora. Obozowisko zaczynało się budzić. Słychać było płacz dziecka, poruszyła się płachta zasłaniająca wejście do jednego z namiotów, z którego wyszła kobieta i poszła w trzciny po wodę. Głośny okrzyk dobiegł od strony tabunu koni pasącego się na zboczu.

— Dziwne — powiedział Jean. — A dlaczego dziewczyna znalazła się w obozowisku?

Widziałeś ją?

— Tak, wczoraj. Była tam, nie wiedziałeś?

— Wiem. Pragnęła uratować swego brata, ale spóźniła się. Andrew nie chciał mówić Jeanowi, że widział Białkę w namiocie Oktina Hasza, jakby to było coś wstydliwego.

— Oczywiście — powiedział Jean. Schwytali ją, zanim zdołała do niego dotrzeć.

— Jak to się stało?

— Oktin Hasz wiedział, że dziewczyna przyjdzie do obozowiska.

Andrew skinął głową — naturalnie, że wiedział, przecież wojownicy szukali ich w jaskini.

— I zastosował prymitywny podstęp — Jean mówił spokojnie, z odcieniem lekkiego współczucia dla Białki, ale bez emocji. — Spędził do jednego namiotu wszystkie niewolnice z jej hordy, bo przypuszczał, że Białka będzie ich szukać. A w namiocie schował paru wojowników. Schwytali ją, gdy tylko weszła do środka.

— Czekaj! — Andrew stanął. — Ale ja widziałem ją w namiocie Oktina Hasza! W nocy. Była wolna. Rozmawiała z nim.

— Przecież jest córką wodza — powiedział Jean głosem, w którym Andrew usłyszał ton Białki mówiącej: „Jaki ty jesteś głupi! Przecież to oczywiste!" Nic dla niego nie było oczywiste.

— I co będzie?

— Nic szczególnego. Weźmie ją za żonę.

Andrew chciał zaoponować, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Kiedy ich szukał, z przeciwległego brzegu jeziora dobiegł wysoki krzyk.

W trzcinach stała kobieta pokazująca ręką w ich stronę.

— O co jej chodzi?

— Ta kobieta krzyczy, że widzi wiedźmy — odparł Jean.

Jasne! Obaj mieli na sobie czarne peleryny zdjęte z robotów. Andrew nasunął kaptur na oczy.

— Może spróbujemy wdrapać się po tym zboczu? — Jean wskazał stronny stok zaczynający się tuż za namiotami czarownic.

— Nie — powiedział Andrew. — Pójdziemy do'Oktina Hasza.

* * *

W namiocie wodza paliło się światło, widoczne przez szpary w skórzanej powłoce, chociaż na zewnątrz było już dosyć jasno. Przed wejściem do namiotu słodko spał zwinięty w kłębek wartownik. Andrew zajrzał przez szparę do środka. W namiocie było dwóch ludzi.

Oktin Hasz siedział po turecku na stercie skór. W ręku trzymał drewnianą czarkę, z której coś popijał. Gruby szaman leżał na ziemi niczym rozpływająca się sterta sadła. Między nimi płonęła w żelaznym trójnogu pochodnia. Białki nie było.

Andrew odetchnął z mimowolną ulgą. Nie chciał zobaczyć Białki z Oktinem Haszem, chociaż sam sobie tego do końca nie uświadamiał.

Dał znak Jeanowi, żeby szedł za nim, odrzucił energicznie płachtę zasłaniającą wejście i wszedł do namiotu.

Oktin Hasz gwałtownie poderwał głowę i ujrzał dwie wiedźmy, w czarnych, sięgających ziemi, pelerynach z kapturami nasuniętymi na oczy, wchodzące na środek namiotu niczym złowieszcze zjawy.

Andrew był przekonany, że Oktin Hasz się przestraszy, musi się przestraszyć. To stanowiło clou jego planu.

Ale Oktin Hasz opuścił spokojnie głowę i uśmiechnął się cienkimi wargami, gruby czarownik zaś chichotał, jakby dostał napadu kaszlu.

Czarne wiedźmy zatrzymały się.

— Jesteśmy niezadowolone z ciebie, Oktinie Haszu — powiedziała jedna z nich.

Oktin Hasz patrzył na jej bose, pokrwawione nogi. Szaman dławił się ze śmiechu.

— Wiedźmy nigdy tu nie przychodzą — powiedział wódz. — My chodzimy do nich. Ale jeśli ktoś ubrał się w czarny strój wiedźm, to będzie naszym gościem.

— Co on mówi? — zapytał Andrew.

— Domyślił się, że nie jesteśmy wiedźmami.

— Patrzyliśmy, jak szliście brzegiem jeziora — oświadczył Oktin Hasz. — Zabiliście wiedźmy? Nie żałuję ich. Wiedźmy już od dawna niczego nie dają. Dobrze zrobiliście, żeście je zabili. Siadajcie. Będziemy razem pić i mówić.

Roześmiał się z zadowoleniem — przyjemnie być mądrzejszym od przeciwnika, a Oktin Hasz był mądrzejszy od przybyszów.

Andrew odrzucił kaptur. Jean tłumaczył słowa Oktina Hasza:

— Kiedy złapali Białkę, on od razu zrozumiał, że jesteś gdzieś blisko. Jesteś prawdziwym wodzem, a wódz nie siedzi w krzakach. Myślał, że napadniesz na niego, ale ty poszedłeś do wiedźm, i to jest słuszne, bo cóż znaczy życie kobiety, kiedy trzeba ratować mężczyznę ze swojej hordy?

Andrew nie wiedział czy Oktin Hasz kpi, czy mówi serio. Oskarża go o zdradę czy podziwia mądrość.

— Patrzyliśmy — słyszał beznamiętny głos Jeana — i wiedzieliśmy, że wódz niebiańskiej hordy poszedł do wiedźm. Żeby uwolnić Jeana, który mówi naszym językiem, i czekaliśmy czy wrócisz, czy też cię zabiją.

— Wiedźm już nie ma — powiedział Andrew.

— Ich słudzy, starzy ludzie, dawali nam broń — powiedział Oktin Hasz. — Dawali nam mnóstwo grotów do strzał i włóczni, dawali nam noże. — Oktin Hasz zaginał palce niczym kapitalista wyliczający swoje fabryki. — Dawali nam kawały dobrego żelaza, uczyli nas strzelać z łuku. Ale dawali za mało. A my musieliśmy przygotowywać się do wielkiej wojny. Poszliśmy, żeby wziąć wszystko.

Wódz zamilkł i podrapał się w nos. Potem powiedział:

— Mogę zawołać swoich wojowników, a oni złożą was w ofierze wielkiej rybie jeziora...

— Niech powie, czego od nas chce — przerwał Jeanowi Andrew.

— Iahh! — ucieszył się Oktin Hasz. Zerwał się ze sterty skór i zaczął niczym kogut przechadzać się wzdłuż ścianki namiotu. — Nie chciałem nikogo zabijać. Nie chciałem zabijać twoich ludzi. Ale mnie jest potrzebne żelazo. Jest potrzebna broń. Ukarałem hordę starych ludzi. Myślałem, że wiedźmy dadzą broń. Ale nie dawały. Ukarałem twoją hordę i wziąłem żelazo. Ale za mało! Puszczę was wolno, żebyście przynieśli mi żelazo. Mnóstwo żelaza. Dam wam miejsce do polowania i będę was bronił. Nie chciałem cię zabijać i Jeana nie chciałem zabijać! Wcale bym was nie rzucił rybie! Trochę bym tylko postraszył. A potem bym powiedział: idźcie do siebie i przynieście mnóstwo żelaza wielkiemu wodzowi Oktinowi Haszowi.

Szaman gwałtownie kiwał głową, podziwiając każde słowo mądrego wodza.

— Powiedz mu — powiedział Andrew — że się zastanowimy.

— Ten bandyta i tak ma już dość broni — burknął Jean.

— Twoja mądrość mnie powala — powiedział Andrew. — Chcesz, żeby rekin schrupał cię na śniadanie? Ja nie. Mamy całkowitą swobodę wyboru.

— Rozumiem — powiedział Jean — ale i tak to jest paskudne.

— Skoro rozumiesz, to przetłumacz mu, że się zastanowimy. Jeśli zrobi nam coś złego, to nic nie dostanie.

Oktin Hasz nie ukrywał triumfalnej radości.

— Jesteś moim przyjacielem — powiedział do Andrewa. — Będziemy razem galopować po stepie.

— Musi nam dać konie i Białkę — powiedział Andrew.

Oktin Hasz klepnął się z zadowoleniem po biodrach.

— On mówi, że sam nam będzie rozkazywał, ile mamy dać żelaza, i mamy mu też dać

łuki strzelające ogniem.

— Obiecaj mu bombę atomową — powiedział Andrew. — A co on mówi o Białce?

— Powiedział, żebyś sam jej szukał. On jej nie potrzebuje.

— Gdzie ona jest? — niemal krzyknął Andrew.

— Kutaradż — rozłożył ręce Oktin Hasz. Andrew pamiętał to słowo.

— Nie zabili jej?

Odezwał się szaman. Jean wysłuchał go i, po nieznośnej dla Andrewa pauzie, przetłumaczył:

— Białki tu nie ma. Uciekła. Jest dzika jak zwierzę. Nie potrzebują jej. Wygląda na to, że nie kłamią.

Oktin Hasz klasnął w dłonie. Wszedł wartownik, któremu wódz wydał jakieś rozkazy.

Andrew czuł w sobie wielką, bezdenną pustkę.

— On mówi, żebyśmy się nie spieszyli. Ma zupę. Chce nas nakarmić, bo wie, że jesteśmy głodni.

— Możesz się pożywić — ożył nagle Andrew — a ja muszę jeszcze coś zrobić, i nie odwracając się wyszedł z namiotu.

— Sądzisz, że nie zatrują zupy? — zdążył go jeszcze zapytać Jean. — Głodny jestem jak wilk.

— Nie zatrują. On potrzebuje żelaza. Jest bardzo z siebie dumny, a zwycięzcy nie trują zwyciężonych, tylko po prostu tańczą na ich kościach.

Na dworze było już widno. Obozowisko tętniło życiem.

— Daleko idziesz? — Jean wyjrzał z namiotu.

— Kiedy zjesz, czekaj na mnie z końmi na wschód od obozowiska. Za kozią zagrodą.

— Gdzie tu jest wschód?

— Wschód wszędzie jest tam, gdzie wschodzi słońce.

* * *

Andrew szybko wydostał się na skraj obozowiska, gdzie zaczynało się podejście na urwisko. Krzaki były mokre od rosy. Zaaferowany ostatnimi wydarzeniami jakoś zapomniał o dziwactwach planety i kiedy zapikował na niego niewielki pterozaur, przewrócił się ze strachu. Pterozaur szczęknął mu zębami nad samym uchem i natychmiast poderwał się do góry.

W połowie zbocza Andrew obejrzał się za siebie. Jezioro pokrywała mgła. Czarne namioty wystawały z gęstego tumanu niczym czubki głów płynących krytą żabką ludzi. Słychać było tupoczące w zagrodzie kozy. Dlaczego u diabła nie powiedziałem Jeanowi, żeby wziął dla mnie trochę zupy? Królestwo za łyk gorącej polewki!

Zakasał poły peleryny i zaczął wdrapywać się na stromiznę. Pomysł był beznadziejny, ale nie należało z niego rezygnować.

Wyszedł na płaskowyż dość daleko od miejsca, w którym spędził ubiegły dzień, ale niemal natychmiast odnalazł wzrokiem drzewo z ułamanym wierzchołkiem.

Białka siedziała pod nim zwinięta w kłębek. Było jej zimno. Widocznie spała i usłyszała kroki Andrewa, gdy był już o parę metrów od niej.

Rozłożyła szeroko długie, smagłe ręce i rzuciła się w jego stronę.

— Zabiłeś czarną wiedźmę! — głos jej dźwięczał z zachwytu i przerażenia. — A ja myślałam, że one cię zabiły!

Skoczyła z rozbiegu w szeroko otwarte objęcia Andrewa, owinęła go rękami i nogami jak małpa. Była mokra od rosy i gorąca. Patrzyła mu z bliska w oczy i powtarzała jak we śnie:

— Ja i tak na ciebie czekałam. Uciekłam od nich i czekałam. Czekałabym na ciebie do końca. Dopóki bym nie umarła. Wierzysz?

— Wierzę, Białko, wierzę! Dlatego tu przyszedłem. Oktin Hasz powiedział, że uciekłaś od niego, więc od razu tu przyszedłem.

— Po co mówiłeś z Oktinem Haszem? Nie wolno mu wierzyć.

— Wiem, ale nic nam nie zrobi. Nawet dał nam konie.

— Heeh! — wykrzyknęła Białka. — Potrzebuje żelaza? Zabił starych ludzi, zabił twoich ludzi, zabił moich braci, a żelaza mu brakuje. Dobrze mówię?

Białka ześlizgnęła się na ziemię i stała ciasno przytulona do Andrewa. Tak zmarznięty wędrowiec tuli się do gorącego pieca. Głowę miała odrzuconą do tyłu i w jej oczach odbijało się błękitne, poranne niebo.

— Jean z końmi czeka na nas przy zagrodzie.

— No to idźmy szybciej, bo Oktin Hasz może się rozmyślić. Powie sobie: niech lepiej oni będą u mnie, to wymienię ich na żelazo... Zgodziłeś się dać im żelazo?

— Zgodziłbym się na wszystko, byle się tylko od niego wydostać.

— Słusznie! — ucieszyła się Białka. — Będziesz dawał żelazo mojej hordzie i wybijemy wszystkich wojowników Oktina Hasza!

Zaczęli schodzić po piarżysku i mokrej trawie. Potem Białka zatrzymała się, kazała Andrewowi poczekać, pomknęła z powrotem i wróciła ze skórzaną torbą, z której wyjęła kawałek suszonego mięsa.

— Ukradłam im — powiedziała. — Myślałam, że jeśli Andrew żyje, to jest głodny.

— Zacna myśl — zgodził się Andrew, wgryzając się w żylasty ochłap. Nigdy w życiu nie jadł tak smacznego mięsa. Białka szła obok i nie odrywała od niego rozradowanego wzroku. Cieszyła się ze swojej przezorności.

— Jedz — powtarzała. Musisz jeść, bo jesteś wielkim mężczyzną. A ja już zjadłam, kiedy czekałam na ciebie. Myślałam, że jak jesteś martwy, to potem dojem, a jeśli żyjesz,

to musisz być głodny. A jak zabiłeś wiedźmę? Strasznie było? Byłeś u nich w namiocie?

— Aha.

— A inne wiedźmy? Będą się mścić?

— Nie, wszystkie z Jeanem zabiliśmy.

— Mój mężczyzna jest najsilniejszy na stepie — oświadczyła z dumą Białka.

Mgła opadła i zobaczyli z daleka, że Jean czeka na nich przy zagrodzie. W pobliżu stały trzy konie. Kilku pasterzy stało opodal, zerkając nieśmiało na czarną pelerynę wiedźmy, którą miał na sobie Jean.

Nikt ich nie ścigał, tylko u wylotu kotliny dopędził ich goniec Oktina Hasza i dał im włócznie — wódz pragnął najwidoczniej, aby nic im się po drodze nie stało.

* * *

Wydostali się na step drogą, którą jechał przedtem Oktin Hasz. Ścieżka była szeroka, pokryta zwilgotniałym od rosy kurzem. Jean ciągle się oglądał. Wydawało mu się, że lada moment usłyszy za sobą tętent pogoni. Białka, której dostała się pod wierzch żwawa kobyłka, zachowywała się jak rozbrykany dzieciak. Myszkowała na boki, znikała w wysokiej trawie, aby za moment wyskoczyć stamtąd z wojowniczym okrzykiem... Smagła ręka z włócznią przygotowaną do ciosu, oczy błyszczą tak, że trudno w nie patrzeć.

— Ratuj się! — krzyczy Białka do Andrewa. — Jestem potwór z głębin ziemi, rozerwę cię na strzępy swoimi zębiskami!

Słońce grzało miękko i łagodnie.

— Mój Boże — powiedział Jean, kiedy Białka znów popędziła do przodu — czy takie rzeczy się zdarzają? Powinienem teraz rozpaczać z powodu utraty przyjaciół, martwić się o najbliższą przyszłość, niepokoić, czy uda się nam wrócić do ludzi. A tymczasem jestem najzwyczajniej w świecie szczęśliwy.

— Hę! Patrzcie! — krzyknęła Białka.

Na brzegu niewielkiego jeziorka, w błocie wymieszanym kopytami i łapami zwierząt przychodzących tu do wodopoju, niezgrabnie dreptał w miejscu dziesięciometrowy triceratops — pancerna konstrukcja jakby wymyślona przez chory geniusz Boscha. Jedną trzecią wielkiego cielska zajmowała głowa, której pancerz czołowy kładł się na szeroki grzbiet, kończąc się tam rozstawionymi wachlarzowato metrowej długości kolcami. Krótki, również opancerzony ogon, nie sięgał do ziemi. Natura wcieliła w tym gadzie ideał obrony.

Wokół potwora kłębiły się, podskakiwały, przeszkadzały sobie nawzajem gady podobne do strusi — ogromne tylne łapy, długi, wyciągnięty do tyłu, naprężony z myśliwskiej pasji ogon, wężowe głowy usiane rzędami trójkątnych zębów, przednie łapki niewielkie, ale zakończone nożowatymi pazurami. Atakując triceratopsa wysoko podska-

kiwały i wbijały w pancerne boki gada ostre pazury. Pazury ześlizgiwały się, a triceratops leniwie obracał malutką główkę, jakby chciał powiedzieć: „Co za czasy! Chciałem spokojnie się napić, nikomu nie wadziłem, a te paskudztwa mi dokuczają".

Andrew schwytał się na tym, że patrzy na to widowisko oczyma kibica sportowego, który już wybrał „swoją drużynę". Kibicował spokojnemu triceratopsowi.

— Nie dadzą mu rady powiedział Jean, który również zatrzymał konia. — Chciwość ich zgubi.

— Te zwierzaki nie napadałyby na próżno — powiedział Andrew. To nie ludzie, którzy potrafią podejmować daremne działania.

Białka przygalopowała do nich.

— On zaraz się zmęczy — powiedziała — powalą go. To bardzo ciekawe. Myślałam, że już ich nie ma, że wszystkie zjedli. Pewien wielki wojownik zrobił sobie tarczę z jego szyi. Dwóch ludzi nie mogło tej tarczy unieść. Była bardzo ładna.

Wysoka trawa skryła jeziorko, a wiatr uniósł harmider bitwy.

— Nie dziwisz się, jak dobrze ona mówi? — zapytał Jean.

— Jestem dosłownie wstrząśnięty.

— To moja metoda... No i naturalnie jej zdolności.

— Jestem bardzo mądra — powiedziała Białka. — Jestem córką wielkiego wodza i żoną wielkiego wodza.

— A kim jest twój mąż? — zapytał Jean.

— Mój mąż to Andrew — powiedziała Białka podjeżdżając do Andrewa i kładąc mu rękę na kolanie.

— To dla mnie nowość — powiedział Jean. — Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedzieliście?

— A jak ci mieliśmy powiedzieć — zdziwiła się Białka — jeśli siedziałeś w niewoli u wiedźm?

— To prawda? — zapytał Jean głosem tak niepewnym, jakby jego pytanie dotyczyło rzeczy nazbyt intymnych.

— A ja niby skąd mam to wiedzieć? — zapytał z nagłą złością Andrew. — Sądzisz, że na tej planecie ktoś mnie w ogóle pyta o zdanie? Najpierw uznano mnie za narzeczonego i nawet wyzwolono z niewoli, potem powiedziano mi, że wszystko to była czystej wody dyplomacja, bo w rzeczywistości chodziło tylko o dobro hordy. Potem Białka o mało nie wyszła za mąż za Oktina Hasza...

Białka chlasnęła go po ramieniu skórzaną nahajką. Uderzyła tak, żeby zabolało.

Koń szarpnął się w bok i Andrew omal z niego nie spadł.

— Co ty wyprawiasz? — krzyknął. — Powiedziałem nieprawdę?

— Nic nie powiedziałeś! — Białka uderzyła konia piętami i pogalopowała do przodu.

— Co za dzikie obyczaje!... — powiedział Andrew, dotykając ramienia, na którym przez tkaninę peleryny dawała się już wyczuć pręga opuchlizny.

— Nie wzbudzaj w dziewczętach nieuzasadnionych nadziei, kawalerze — powiedział Jean. — Kolejne starcie dzikości z cywilizacją zakończyło się zwycięstwem dzikości.

— Marzę o tej wspaniałej chwili — powiedział szczerze Andrew — kiedy wejdę na pokład najzwyczajniejszego pod słońcem statku kosmicznego i zapomnę o dzikusach oraz ich opiekunach.

— A ja tu chyba zostanę — wyznał Jean. — Jeśli tylko stacja nie zostanie zlikwidowana. Zdumiewająca sytuacja, jedyna w swoim rodzaju.

Step stawał się coraz mniej zielony, trawa rosła teraz rzadkimi kępkami, poprzedzielanymi łysinami spękanej od słońca gliny. Pod nogami koni biegały nerwowo niewielkie, krępe jaszczurki. Konie najwyraźniej się ich bały.

Białka pogalopowała do przodu i wjechała na szczyt niewysokiego, wznoszącego się łagodnie wzgórza, na którym się zatrzymała.

Po niebie przemknął w stronę świątyni wiedźm srebrny punkcik ciągnący za sobą białą smugę.

— Andrew! — krzyknął Jean. — To nasi!

— Jednak nie odlecieli — powiedział Andrew z ulgą w głosie.

* * *

Kuter planetarny wylądował obok nich mniej więcej w godzinę po tym, jak zobaczyli go po raz pierwszy.

Nawigator powiedział Andrewowi, że Ingrid odzyskała przytomność w nocy i wówczas kapitan „Granatu" dowiedział się, że na stację napadli ludzie Oktina Hasza. Dlatego kuter od razu wyruszył do świątyni wiedźm.

Jego załoga nastawiła się na długie poszukiwania, na trudne pertraktacje z dzikusami, ale wszystko to okazało się niepotrzebne. Oktin Hasz sam podszedł do kutra i przyniósł zegarek Andrewa. Był spokojny i nie bał się zemsty ludzi. Pokazał na migi, że Andrew i Jean odjechali. Nawigator połączył się ze statkiem, którego załoga przeczesała „okiem" okoliczny step. W odległości trzydziestu kilometrów od obozowiska odnaleziono trójkę jeźdźców...

Kuter stał na brzegu rzeki, dość jeszcze szerokiej, chociaż fala przypływu przetoczyła się po niej już przed paroma godzinami.

Andrew porozmawiał z kapitanem i opowiedział mu pokrótce, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni.

Rozmawiając ze statkiem, pił kawę i jadł kanapki, nie zauważając nawet, że coś je i pije. A potem, kiedy łączność się skończyła, pomyślał ze wstydem, że Białka też jest głodna, a on całkiem o niej zapomniał. Poczuł się głupio. Wokół Jeana krzątał się lekarz

— lingwista z przyjemnością oddał się w jego ręce, bo po przybyciu pomocy jakoś od razu oklapł, stracił wigor, dostał dreszczy.

Andrew, trzymając w ręku ogromną kanapkę z serem, wyskoczył z kutra na ziemię. Od razu zobaczył Białkę, która poiła konie w rzece. Konie stały po kolana w wodzie, a dziewczyna siedziała na brzegu i patrzyła nieruchomo przed siebie.

Podszedł do niej. Nie odwróciła się.

— Zjedz — powiedział. — To jest smaczne.

Nie odwracając głowy wyciągnęła rękę do góry. Andrew położył na jej dłoni kanapkę.

Białka zaczęła jeść, a potem odłożyła kanapkę na trawę. Rzeką, unosząc wysoko wężową główkę na długiej szyi, szybko płynął pleziozaur.

— Nie smakuje? — zapytał Andrew. Pomyślał, z jaką przyjemnością będzie się niebawem pluskał w wannie. Potem rąbnie się do miękkiego łóżka i będzie przez całą dobę spał!

— Odlecisz? — zapytała Białka.

— Oczywiście — odparł Andrew. — Czekają na mnie.

— A ja zostaję?

Andrew skinął głową, chociaż ona nie mogła zobaczyć tego potwierdzenia.

Zrobiło się gorąco. Między łopatkami Białki błyszczał pot.

— No to leć — powiedziała dziewczyna. — Po co stoisz?

— Myślę.

— Bruce! — krzyknął ktoś z kutra. — Startujemy?

— Dowieziemy cię do twojego obozowiska — powiedział Andrew zbyt ożywionym głosem. — Niech się zdziwią.

— Kto tam ma się zdziwić? — powiedziała Białka. — Wojowników nie ma, a o mnie myślą, że zostałam zabita.

— Lepiej będzie, jak pojedziesz z nami zamiast wędrować samej po stepie.

— A co z końmi? — zapytała Białka.

— Co tu mają do rzeczy konie? Są przecież cudze.

— Zawsze mówiłam, że jesteś głupi! — Białka zerwała się na równe nogi i podskoczyła do niego. — Teraz już wiem to na pewno. Jak mogę porzucić na stepie trzy konie? Wiesz, że w naszej hordzie zupełnie nie ma już koni? Przecież wiesz, że koń jest droższy niż dziecko, a nawet dorosła kobieta? Niczego nie wiesz, a chodzisz po naszym stepie i obiecujesz.

— Co obiecałem?

— Obiecałeś nam broń, dużo broni, obiecałeś nam łuk, który strzela ogniem. Obiecałeś nam żelazny dom, do którego Oktin Hasz nie będzie mógł wejść, obiecałeś nam mnóstwo żelaznych wojowników...

— Białko, co ty pleciesz! To przecież nieprawda.

— To jest prawda, bo bez tej prawdy Oktin Hasz weźmie do niewoli całą naszą hordę. Ty to wiesz i chcesz nam zabrać ostatnie konie! Nic nam nie dajesz, a wszystko chcesz odebrać. Jesteś bardzo złym człowiekiem i lepiej byłoby, żeby cię wiedźmy zjadły!

Andrew westchnął i postanowił przeczekać wybuch gniewu.

Białka zamilkła i popatrzyła na niego wściekłym wzrokiem.

— I co zamierzasz zrobić?

— Poczekam, aż opadnie woda i pojadę do domu. Ale z końmi. Wszyscy się ucieszą, że są konie.

— A kiedy woda opadnie?

— Kiedy słońce będzie tam — pokazała punkt leżący dość nisko nad horyzontem.

— Dobrze — powiedział Andrew.

Wrócił do kutra. Nawigator czekał na niego przy otwartym włazie.

— No i co, pożegnał się pan? To pańska przewodniczka? Nieźle zbudowana, prawda?

— Świetnie zbudowana — powiedział Andrew wchodząc do środka. Obejrzał się. Białka stała na brzegu i patrzyła w jego stronę.

Włączył mikrofon i powiedział do kapitana „Granatu":

— Słuchaj, Fiodor, zostanę tu jeszcze jakieś pięć godzin. Zabierzecie mnie spod byłej stacji.

— A co się stało?

— Nie chcę zostawiać dziewczyny, która była z nami...

— No to podrzućcie ją kutrem.

— Ona ma trzy konie, a na stepie to wielki majątek. Trzeba poczekać, aż woda w rzece opadnie i wówczas pojedziemy do obozowiska.

— Może zostawić ci kogoś do pomocy?

— Po co? Będziemy obserwowani przez „oko". Mam nadzieję, że już nas nie zgubicie.

— To ryzykowne — powiedział kapitan.

— Nie bardziej ryzykowne niż było wczoraj i dzisiaj w nocy, kiedy nie wiedzieliście, gdzie jestem i czy w ogóle żyję. Ludzie Oktina Hasza mnie nie tkną, a przed zwierzętami zawsze jakoś uciekniemy.

— Uważasz to za konieczne? — w głosie kapitana brzmiało powątpiewanie.

— Tak — odparł Andrew. — Do usłyszenia.

Jean słyszał tę rozmowę.

— Może ja też zostanę? — powiedział. Leżał na rozłożonym fotelu pasażera i malowniczo cierpiał. Doktor masował mu brzuch.

— Nie trzeba, przecież wiesz, że to niedaleko.

— Masz rację — zgodził się skwapliwie Jean. — Niedaleko.

Andrew nie przebrał się i wyszedł z kutra w czarnej pelerynie wiedźmy. Założył jednak na nią srebrny pas z blasterem, apteczką i nadajnikiem. Teraz był silniejszy od każdego z mieszkańców planety... Inna rzecz, że podobny rynsztunek nie uratował Konrada.

Odszedł kilka kroków i uniósł rękę w pożegnalnym geście.

Kuter bezszelestnie i płynnie oderwał się od ziemi i pomknął ku rzadkim obłokom. Od razu dało się słyszeć granie koników polnych i śpiew ptaków w trawie. Konie wyszły już z wody i pasły się opodal brzegu. Andrew podszedł do Białki.

— Wszyscy odlecieli, a ty zostałeś — powiedziała dziewczyna obojętnie.

— Odprowadzę cię do obozowiska — powiedział Andrew. — We dwójkę jest raźniej.

Podał jej wielkie jabłko.

Step znów stał się nieskończenie pierwotny i pusty, i nawet oni — też dzikusy — byli na nim obcy.

— Słodkie jabłko — powiedziała Białka.

Andrew zdjął pelerynę, rozścielił ją na trawie i położył się. Dlaczego nie wziąłem jakichś kapci? — pomyślał. Blaster za pasem, nadajnik, a nogi bose...

— Ja i bez ciebie odprowadziłabym konie — powiedziała Białka.

— Kuter przyleci po mnie do obozowiska — powiedział Andrew.

— Może zabrakło dla ciebie miejsca?

— Może.

— A ja myślałam, że się o mnie boisz.

— Na prowokacyjne pytania nie odpowiadam — powiedział Andrew.

— Nie zrozumiałam. Mów ze mną zrozumiale.

— Chcesz się uczyć?

— Ja już wszystko wiem — odparła Białka.

— Kiedy przyleci tu następna wyprawa, mogą cię wysłać do Centrum Galaktycznego.

— Za dużo nieznanych słów. Nie potrzebuję ich.

Białka wstała i weszła po pas do wody. Przysiadła, machnęła ręką i ochlapała Andrewa.

Andrew uniósł się na łokciu.

— Białko — zapytał. — Umiesz pływać?

— Nie! — odkrzyknęła. — W wodzie bywają złe ryby.

Oczy same się zamykały. Zasypiając Andrew pomyślał, że jest zwykłym chamem. Wkrótce rozstanie się z tą dziewczyną na zawsze i zapomni jak o kimś, kogo spotyka się przelotnie w tłumie. Nie powinien spać, powinien przynajmniej do końca z nią rozmawiać...

Kiedy się obudził, słońce minęło już zenit, zrobił się ciężki upał. Był cały mokry od potu, skóra nieznośnie piekła.

Białka siedziała w kucki i patrzyła na niego.

— Nie spałaś? — zapytał leniwie Andrew.

— Nie.

Andrew wstał. Był cały połamany i ledwie trzymał się na nogach. Dokuśtykał do wody i pochylił się nad nią. Jego cień wystraszył stadko drobnych rybek, które rozprysnęły się na wszystkie strony, płosząc przy okazji niewielkiego węża wodnego.

Pływanie w rzece było ryzykowne, bo nie wiadomo, jakie paskudztwa w niej żyją, wszedł więc tylko po kolana do wody, pochylił się i umył gorącą, pokrytą ostrą szczeciną twarz.

— Można ruszać? — zapytał.

— Można — powiedziała Białka.

Schwytali konie, przejechali przez rzekę, minęli kępę drzew, gdzie Białka uwolniła Andrewa z niewoli.

— Jeśli mnie zabierzesz — powiedziała — to będę bardzo posłuszna. Będę ci gotowała mięso, będę polowała.

— Gdzie będziesz polowała?

— U ciebie w domu.

— Znakomity pomysł — powiedział Andrew i uśmiechnął się, wyobrażając sobie tę dziką dziewczynę na skrzyżowaniu centralnych ulic Kosmogrodu.

— Nie śmiej się! — powiedziała Białka ostrzegawczo.

— Ja sam mogę polować — powiedział Andrew. — U siebie w domu potrafię polować. Ja tylko na stepie nie wszystko wiem.

— A jeśli zostaniesz, to będziesz tutaj polował.

Andrew nie odpowiedział. Jechali wydeptaną w stepie ścieżką. Kopyta koni wzbijały tumany kurzu.

— Jeśli nie chcesz żyć ze mną — powiedziała Białka — to możesz żyć z moją siostrą. Ona też jest ładna. Ucieszy się.

— Chciałabyś, żeby tak było?

— Chcę, żebyś został.

— A co zrobisz, jeżeli się zgodzę?

— Będę się cieszyła, a potem zabiję moją siostrę — odparła szczerze Białka.

— Białko, nie mogę tu zostać. Mam swoją pracę, swoją hordę, swoje polowanie. Nie mogę cię zabrać ze sobą. Tam wszystko jest dla ciebie zbyt obce. Nie mówmy już o tym.

* * *

Na pogorzelisku stacji bawiły się dzieciaki z hordy Białki, które z daleka rozpoznały ją i pobiegły do obozowiska.

Obozowisko stało nadal w zarośniętej krzewami dolince.

Białka znalazła się nagle w otoczeniu kobiet, które wypytywały ją o coś, a potem się rozpłakały. Z namiotu wyszedł stary wódz.

Andrew stał z boku trzymając konie. Dwóch wyrostków, prawie już wojowników, wzięło konie i zaprowadziło je w krzaki.

Andrew dostrzegł cień lądującego kutra, który za moment opadł na trawę o parę metrów od niego. Na ziemię wyskoczył nawigator.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Wszystko w porządku — uspokoił go Andrew. Trzeba było coś zrobić.

Białka patrzyła na niego. Obok niej stał jej ojciec i pozostali ludzie z jej hordy. Wszyscy patrzyli na kuter i na Andrewa.

— Wrócimy — powiedział Andrew.

Białka przetłumaczyła to ojcu.

— Lecimy — powiedział Andrew i z ociąganiem poszedł w stronę kutra. Co Białka robiłaby w mieście? Jej miejsce jest tutaj. Ryby też nie można wyciągać z wody, jeśli nawet ofiaruje się jej wspaniały dom na lądzie.

Obejrzał się, pomachał Białce ręką, jak by to miało być jedynie krótkie rozstanie. Uśmiechnął się. Białka zrobiła krok w jego stronę i krzyknęła:

— Andrew!

— Do widzenia! — powiedział Andrew i wszedł do kutra. Nawigator zamknął właz.

— Smutno rozstawać się z przyjaciółmi? — zapytał. — Jean mówił mi, że ta dziewczyna uznała pana za męża. Śmieszne.

— Śmieszne — zgodził się Andrew patrząc w iluminator. Ci, którzy zostali w dole, zostali odcięci od niego nieodwołalnie i na zawsze — jak w filmie. Kupka namiotów była już ledwie widoczna w gęstwie krzaków, bo kuter przed skokiem na orbitę opadł nisko nad ziemię. Białka pobiegła w jego stronę, ale kuter akurat w tym momencie zaczął wznoszenie i jej figurka z uniesioną ręką zaczęła błyskawicznie się zmniejszać. A wokół rozpościerał się bezbrzeżny step, czyhający na nią, żądny jej krwi. Jutro Białka pójdzie na polowanie lub zetknie się z wojownikami obcej hordy... A on, Andrew, będzie jutro jechał w myśli obok niej i czekał, kiedy wyskoczy na nią z krzaków tygrys szablasty lub zamachnie się na nią maczugą krwiożerczy pitekantrop. I nie będzie wiedział, czy dziewczyna wróciła do swojego namiotu... Nie wiedząc tego, pojutrze znowu wyruszy z nią w myśli na step i znowu będzie czekał na atak. I te wyimaginowane wędrówki staną się dla niego nieznośną realnością, odgradzającą go od wszystkich pozostałych ludzi.

— Wracamy — powiedział sucho do nawigatora.

— Ty co? — zdziwił się nawigator. — Coś zapomniałeś?

— Wracamy — powtórzył Andrew, bo gdyby powiedział choć jedno słowo więcej, musiałby tłumaczyć swoje żądanie, a wytłumaczyć go było niesposób.

Kuter spadał z nieba na obozowisko.

Andrew widział przez iluminator, że wszyscy jego mieszkańcy już rozeszli się do namiotów. Tu szybko zapomina się o radościach i tragediach. Tylko Białka stała na polanie i patrzyła do góry.

Nie ruszyła się z miejsca dopóki kuter nie wylądował. Dopiero zobaczywszy we włazie Andrewa i zrozumiawszy wszystko z wyrazu jego twarzy, ruszyła ku niemu najpierw wolno, jakby z trudem, potem rzuciła włócznię i pobiegła.

Sama, jakby to już robiła wiele razy przedtem, weszła na pokład kutra i usiadła w fotelu. Była spokojna, gdyż obok niej siedział jej mężczyzna. Ale potem, kiedy kuter wystartował, przestraszyła się, odszukała palce Andrewa i silnie je ścisnęła, i nie puszczała dopóty, dopóki nie dotarli do statku.

Kir Bułyczow jest przedstawicielem pisarzy radzieckich średniego pokolenia, wywodzących się z kręgu humanistów reprezentujących nurt twórczości zwanej fantastyką naukową.

Wysoki poziom pisarstwa Kira Bułyczowa, jego poczucie humoru, liczne aluzje do rzeczywistości ziemskiej są dobrze znane polskim czytelnikom z jego licznych, wcześniej wydanych powieści.

W powieści „Świątynia czarownic" autor opisuje życie ludzi „pierwotnych" na obcej planecie, widziane oczami przybyszy z Centrum Galaktycznego, na której to planecie nieznani przybysze stworzyli optymalne warunki do „popychania" ewolucji, „podkręcania" genetyki, wtłoczyli miliony lat w dziesięciolecia.

Wkrótce nakładem Wydawnictwa Prawniczego ukaże się następna książka pióra tego autora. Będzie to zbiór opowiadań pt. „Rozum dla kota".